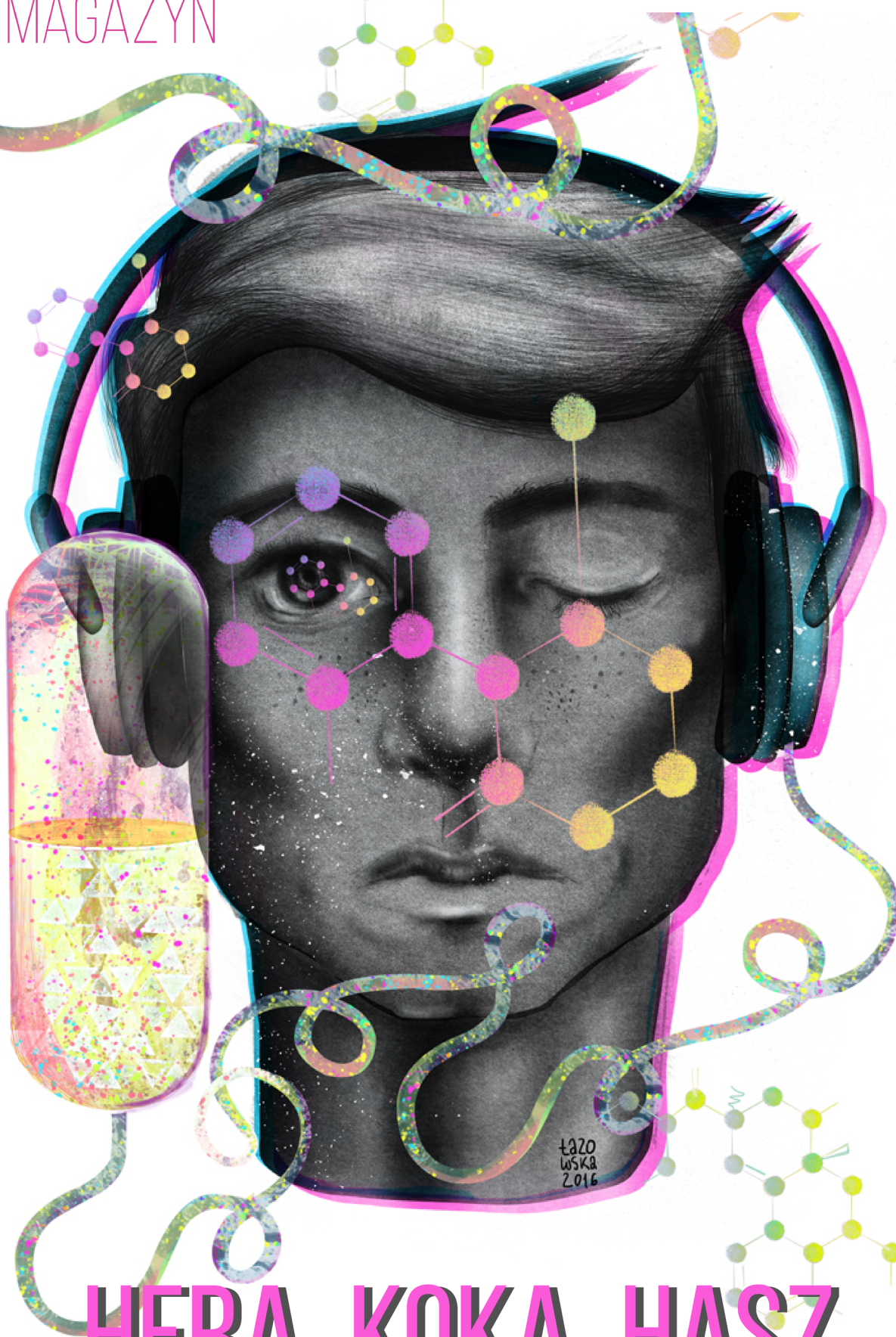




ŁaZOWSKA
2016

HERA, KOKA, HASZ

SPIS TREŚCI.

NARCOLAND	4
MAGDALENA MYRLAK MARIUSZ HOŁOD	
NARKOTYK-MÓZG-ARTYSTA	8
MATEUSZ TOFILSKI EWA NOWAK	
EUROBUBBLE, CZYLI KEEP CALM AND NETWORK	11
KATARZYNA NOWACKA KAJETAN VON KAZANOWSKI	
WŁADCY MARIONETEK	18
ALICJA MESZCZYK KASIA SURO	
GÓRA KANADYJSKICH PRZYJEMNOŚCI	22
KASIA JEZIORSKA KAROLINA NIEDZIELSKA	
NARKOTYKI MAM W NOSIE, CZYLI CIEMNA STRONA OSŁO	26
ALEKSANDRA PIOTROWSKA MAGDALENA ŚLÓSARCZYK	

SPIS TREŚCI.

PARYŻ	29
KRZYSZTOF PIETRALA MATEUSZ GAWRON	
CLUBBING NA PROZAKU, CZYLI WHAT'S YOUR POISON?	33
KAŚKA PALUCH ANNA ŁAZOWSKA	
PEJCZ, KARABIN I BIAŁY LEW, CZYLI WEEKEND WE LWOWIE	38
AGATA WIECZOROWSKA	
PAPIEROSY, MOJA MIŁOŚĆ	43
KAROLINA MOLDA VIKTORIA A1GARDE ROSOVETSKA	
PROZAK I CUKIER	46
JAKUB WYDRZYŃSKI KATARZYNA DOMŻAŁSKA	

© FUSS MAGAZYN
ISSN 2300-3758

REDAKCJA:
REDAKTORKA NACZELNA: MAGDALENA URBAŃSKA
ZASTĘPCZYNI REDAKTORKI NACZELNEJ, SKŁAD: KLAUDYNA SCHUBERT
REDAKCJA I KOREKTA: MARTA STAŃCZYK
ILUSTRACJA NA OKŁADCE: ANNA ŁAZOWSKA

WYDAWCA:
CELEDU
UL. CEGIELNIANIA 13/30
30-404 KRAKÓW

WWW.FUSS.COM.PL | REDAKCJA@FUSS.COM.PL



NARCOLAND

MAGDALENA MYRLAK | MARIUSZ HOŁOD

Popularny biały proszek, który Amerykanom kojarzy się głównie z pobudzeniem, euforią i zabawą, kilka kilometrów od południowej granicy przywodzi już na myśl same kłopoty. Dla większości Meksykanów to nie tylko pieniądze, a przez to szansa na lepsze życie, ale jednak głównie śmierć. Szybka, brutalna i bezwzględna, która z pewnością prędzej czy później pojawi się w ich najbliższym otoczeniu. Te dwie perspektywy postrzegania popytu i podaży na kokainę codziennie ścierają się w rejonie amerykańsko-meksykańskiej granicy. A dzięki odgradzającemu oba kraje muiwoli jej widok z lotu ptaka wygląda bardzo symptomatycznie – jak biała kreska.

Wysoki w wielu miejscach na 6 metrów i zatopiony na 1,5 metra w ziemię betonowy mur stanowi już 1/3 całej długości granicy między Stanami Zjednoczonymi a Meksykiem. Budowana głównie w centralnej i zachodniej jej części ściana (na wschodzie naturalną granicę wyznacza Rio Grande) ostatecznie kończy się kilkadziesiąt metrów w głębi Oceanu Spokojnego. Już ponad 1100 km betonowego muru dzieli oba kraje. Ma zabezpieczać najruchliwszą na świecie granicę przed falą napływającej z południa

przestępczości. W konsekwencji zapewnia jednak Amerykanom iluzoryczne poczucie bezpieczeństwa w walce z handlem narkotykami i nielegalną emigracją. Niestety kartele na każdy nowy środek zabezpieczeń odpowiadają kilkoma swoimi sposobami na jego obejście. Albo też po prostu otwierają ogień z karabinów maszynowych i dostają to, czego chcą, o wiele szybciej.

NIEZŁY MEKSYK

Schedę narkotykowego imperium Meksyk przejął kilkanaście lat temu od Kolumbii. Przy sporym zaangażowaniu Stanów Zjednoczonych tamtejszym władzom udało się w znacznej części ograniczyć nielegalny proceder, który jednak bardzo szybko przeniósł się jeszcze bliżej głównego rynku zbytu. Sposób, w jaki w branży funkcjonował kartel z Medellin i jego charyzmatyczny boss, Pablo Escobar, na wiele lat ustanowił metody prowadzenia tego interesu. I to wyjątkowo bezwzględne metody. Gdy nastał czas na meksykańskie kartele narkotykowe, te podzieliły między siebie strefy wpływu. Obszar kraju rozdzielony jest obecnie między sześć głównych grup organizujących przemysł: kartel Juarez, Knights Templar, Guerreros Unidos, Los Zetas, Tijuana oraz Sinaloa.

Tym ostatnim rządzi okrzyknięty najpotężniejszym baronem narkotykowym Joaquin „El Chapo” Guzman. O tym, jakim cieszy się respektem i jaki posłuch wzbudza wśród swoich podwładnych, świadczy to, że kartelem dowodził nawet zza więziennych krat, z których zresztą został już dwukrotnie wyciągnięty. Jego ostatnia ucieczka została zorganizowana w iście brawurowym stylu i z wygodami godnymi prawdziwego króla. „El Chapo”, czyli Maluch, całkiem spokojnie wyszedł ze swojej celi więziennej przez otwór wydrążony pod brodzikiem prysznicą. Dalej przez 1,5 km szedł podziemnym tunelem o wysokości 170 cm (Guzman ma 1,68 m wzrostu), wyposażonym w wentylację i oświetlenie. Na końcu czekał na niego samochód, który zabrał go w bezpieczne miejsce. Nawet po przyznaniu się jednemu z dziennikarzy, że ma na sumieniu śmierć ok. 2-3 tys. osób, wciąż strach, jaki napęłnia Meksykanów, połączony jest z uczuciem podziwu i szacunku.

SREBRO ALBO OŁÓW

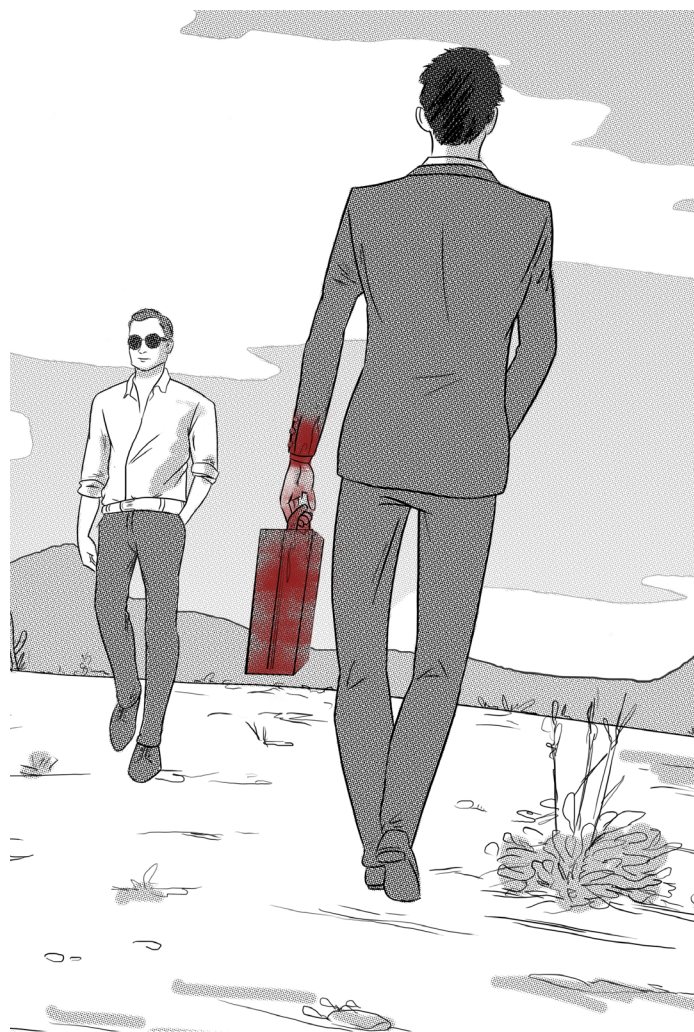
Dla wszystkich zamieszanych w narkobiznes to utarte powiedzenie stanowi bardzo jasny przekaz, ultimatum, które nie wróży nic dobrego: albo płacisz, albo możesz zarobić kulkę. Kartelowi się nie odmawia, nie można też wycofać się ze współpracy z nim. Nęcąca perspektywa szybkiego zarobku często staje się pułapką. Każdy przejaw niesubordynacji, oszustwa, donosicielstwa czy próby wyjścia z kartelu lub przejścia do innego karane są tylko w jeden sposób. Ale zwykły wyrok śmierć byłby okazaniem zbyt dużej litości, na którą w kartelach narkotykowych nie ma miejsca. Dlatego winowajcy giną w niesamowicie brutalny sposób.

Oprócz tortur, z których częste jest odcinanie palców u rąk, podpalanie czy rozmaite okaleczania, ich ciała są dodatkowo bezczeszczane. Ofiarom nagminnie odcinają się głowy i podrzuca je w publiczne miejsca lub pod drzwiami domu, by zaznaczyć, co i dlaczego spotkało ofiarę. Nagminny widok stanowią zwisające z mostów lub wieszane na murach korpusy ciał, które w tych miejscach są dobrze widoczne dla rodziny i otoczenia. Śmierć tych ludzi ma być ostrzeżeniem i manifestacją siły wobec innych członków grupy, a także konkurencyjnych karte-

li. Równie częste jest porzucanie ciał np. na wysypiskach śmieci lub – gdy człowiek ma po prostu zniknąć – zakopywanie ich na odległych pustyniach lub ćwiartowanie i rozpuszczanie w beczce z kwasem. Przypadki porwań i zniknięć bez śladu są coraz częstsze – ludzie wykorzystywani są do konkretnych celów, a następnie po prostu likwidowani. Życie nie stanowi tu większej wartości, zwłaszcza w przypadku osoby, która się sprzeniewierzyła, stanowiąc przeszkodę dla dalszych interesów. Bo tu chodzi o naprawdę o duże pieniądze.

CIENKA BIAŁA KRESKA

Szacuje się, że dochód ze sprzedaży narkotyków może wynosić nawet do 100 miliardów dolarów rocznie. A liczyby te dotyczą wyłącznie Stanów Zjednoczonych i tylko



kokainy. Ponieważ w USA regularnie zażywa ją blisko 1,5 miliona Amerykanów, stanowią oni wystarczający rynek, by zapewnić zbyty dla niemal całej meksykańskiej produkcji. Do tego należy doliczyć jeszcze dochód z produkcji heroiny i marihuany, które są równie popularne jak kokaina.

Pieniądze z tego są wystarczające na opłacenie członków kartelu, a także celników i polityków różnych szczebli, bez których przekupstwa biznes nie mógłby tak dobrze prosperować. Środki muszą się także znaleźć na wyposażenie tzw. żołnierzy, czyli członków grupy narażonych na codzienną walkę na granicy lub ulicach, dysponujących zdumiewającym arsenałem broni. Do tego należą również duże terenowe samochody typu SUV, ulubione środki transportu karteli narkotykowych – ich sprzedaż w Ameryce Południowej jest największa na świecie. Posiadają także swoje samoloty, którymi szybko i bezpośrednio transportują ogromne ładunki. Coraz więcej pieniędzy inwestuje się w najnowsze technologie, np. sprzęt do wykrywania podsłuchów lub monitorowania trasy wysłanego transportu. Do grup dołączają nawet informatycy i specjaliści od elektroniki. Wszystko funkcjonuje jak dobrze zorganizowana firma o surowych zasadach, która jednak prosperuje lepiej niż legalni przedsiębiorcy, bo w końcu nie płaci podatków i w nosie ma wszelkie prawne obostrzenia.

WEWNĘTRZNE WOJNY MEKSYKU

W Meksyku toczy się wojna domowa między działającymi na terenie państwa kartelami narkotykowymi. Bo każdy kilometr terenu to większa strefa wpływu i dziesiątki możliwości przerzutu kolejnych kilogramów narkotyku. Walki toczą się głównie o obszar tzw. złotej bramy, czyli główną strefę nielegalnych przejść i przemytów do Stanów Zjednoczonych, ale nie tylko. Z coraz większą częstotliwością obserwuje się także przerzuty na pustynnych obszarach Teksasu, Nowego Meksyku czy Arizony, w których co prawda na granicy nie stoi mur, ale występuje naturalna blokada – piekielnie wysokie temperatury dochodzą tam nawet do 50 stopni Celsjusza, sprawiając, że człowiek bez solidnego zaopatrzenia, którego zwykły muł (kurier narkotykowy zmuszany do szmuglowania towaru) zazwyczaj nie posiada, ma małe szanse na przeżycie. Dlatego najbardziej opłacalnymi, ale i najryzykowniejszymi obszarami przemytu są duże punkty graniczne przy tzw. miastach siostrzanych, San Diego (Kalifornia) i Tijuanie czy El Paso (Teksas) i Ciudad Juarez. Tylko w tym ostatnim miesięcznie przejeżdża ponad milion samochodów, a dziennie dochodzi do blisko 3 tys. prób nielegalnego przekroczenia granicy przez Meksykanów. W takich warunkach amerykańscy celnicy nie są w stanie skutecznie zatrzymywać przemytników czy wyłapywać nielegalne transporty. Wszyscy mają świadomość, że



każdy wykryty przemyt to tylko jeden sukces na kilkadziesiąt zrealizowanych w tym czasie prób. Do tego dochodzą podziemne tunele, które, licząc po kilkaset metrów i prowadząc czasami wprost z budynku do budynku, pozwalają przerzucić towar na amerykańską stronę właściwie niezauważenie. Podczas rutynowej pracy strażnicy odkrywają nawet kilkanaście takich kanałów dziennie.

Drugą poważną wojną, jaką prowadzą kartele narkotykowe wewnątrz granic swojego kraju, jest walka z nieprzekupnymi funkcjonariuszami. Tych, którzy postanawiają walczyć z przestępcami, świadomie ryzykując przy tym własne życie, jest niewielu, a ich historie dramatycznie podobne. Jak ta o burmistrzynie Temixco, która w swojej kampanii zapowiadała bezkompromisową walkę z narkobiznesem po dojściu do władzy i została zamordowana już pierwszego dnia po objęciu urzędu. Kolejne rządy, obligowane do wzmożonych działań w tej kwestii także przez władze w USA, walczą z narkobiznesem i nawet osiągają na tym polu pewne sukcesy. Wciąż są jednak zbyt skorumpowane i zastraszone, by wyjść w tej wojnie na prowadzenie i w jakikolwiek sposób opanować sytuację.

STANY ODURZONE AMERYKI

Przy wszystkich problemach Stanów Zjednoczonych z szerzącą się w kraju przestępczością ten związany z trudną sytuacją na ich południowej granicy Amerykanie również w znacznym stopniu generują sami. Problem

nadużywania przez nich narkotyków, nieuregulowana polityka migracyjna w stosunku do Latynosów lub choćby fakt, że sami sprzedają Meksykanom broń, która służy im potem do prowadzenia narkobiznesu, świadczy o tym, że bardzo krótkowzrocznie podchodzą do realizacji swoich partykularnych interesów, w ogóle nie panując nad złożonymi mechanizmami. Dlatego do Stanów wciąż trafia rocznie ponad 300 ton nielegalnej kokainy i stale znajduje ona swoich nabywców. 🧠

MAGDALENA MYRLAK

Absolwentka socjologii i Public Relations. Zafiksowana na punkcie seryjnych morderców i Indian Ameryki Północnej. Marzy o reportażu będącym relacją z wojny narkotykowej na granicy Stanów Zjednoczonych i Meksyku.

MARIUSZ HOŁOD

Student Wydziału Architektury na Politechnice Wrocławskiej. W wolnych chwilach zajmuje się tworzeniem komiksów i ilustracji.

”

**PODZIEMNE TUNELE LICZĄ PO
KILKASET METRÓW I PROWADZĄ
CZASAMI WPROST Z BUDYNKU DO
BUDYNKU, POZWALAJĄ PRZERZUCIĆ
TOWAR NA AMERYKAŃSKĄ STRONĘ
WŁAŚCIWIE NIEZAUWAŻENIE**



NARKOTYK-MÓZG-ARTYSTA

MATEUSZ TOFILSKI | EWA NOWAK

Narkotyki to silnie uzależniające środki psychoaktywne, przez co nie tylko są nielegalne, ale i napiętnowane społecznie. Jednak istnieje grupa, w której ich stosowanie nie wiąże się z powszechnym wykluczeniem i publiczną naganą, a jest nią środowisko artystów.

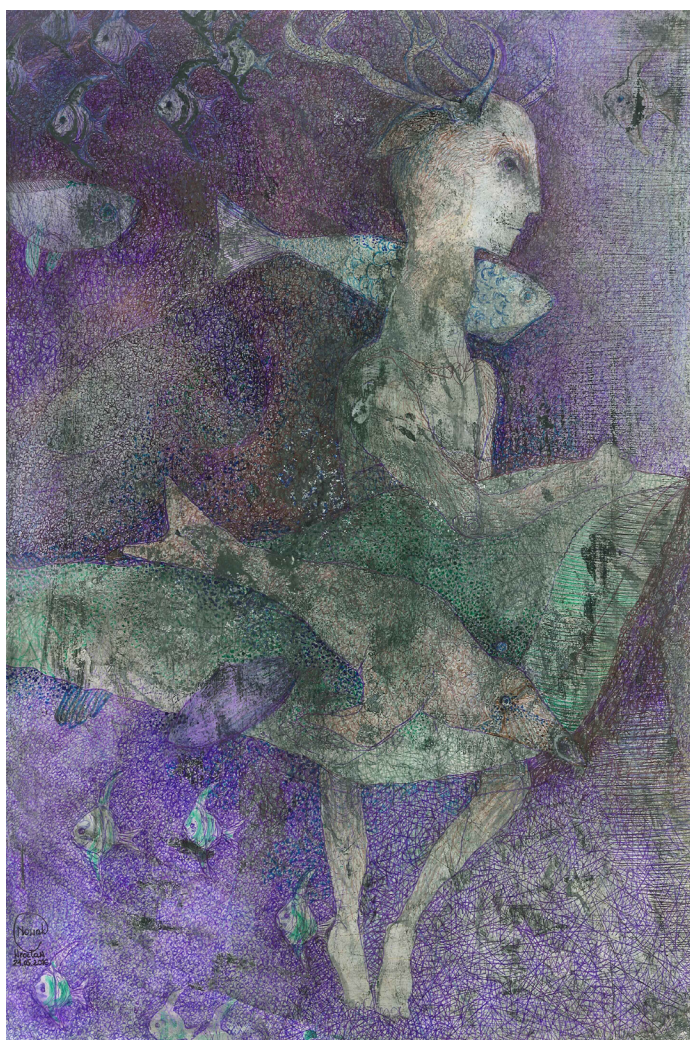
Skąd wzięła się wśród twórców sztuki tendencja do stosowania tego rodzaju używek? Odpowiedzi z pewnością jest wiele, z których nieoczywista, a zarazem wiele wyjaśniająca, może być ta pochodząca z obszaru badań nad ludzkim mózgiem.

NARKOTYK – MÓZG

Co wpływa na łatwość uzależniania się od narkotyków? Jeśli zajrzymy pod czaszkę dowolnego człowieka, będziemy mogli wyszczególnić trzy podstawowe układy w jego fizycznym mózgu: układ nagrody, układ pobudzenia i układ kognytywny, odpowiedzialny za nasze funkcje poznawcze. Za regulację naszych zachowań, ale i poczucie przyjemności odpowiedzialne są substancje chemiczne należące do tzw. grupy opioidów. Zaliczamy

do niej słynne hormony od „jedzenia czekolady”, czyli endorfiny, ale i morfinę, kodeinę czy wreszcie heroinę, a więc jedne z najbardziej uzależniających narkotyków. Tutaj leży klucz do ich sukcesu, a naszego problemu. Narkotyki wpływają bezpośrednio na ośrodek nagrody, silnie aktywując jego neurony. Stąd właśnie niezwykła, wręcz ekstatyczna przyjemność przeżywana podczas stanu odurzenia narkotykowego, która doprowadza do tego, że w pewnym momencie układ nagrody „wariuje” i potrzebuje nieustannego powielania tego doświadczenia. To właśnie jest przyczyną szybkości, celności i bezwzględności narkotyków.

W sensie reakcji naszego organizmu moglibyśmy porównać uniesienie narkotyczne z siłą doświadczeń przeżywanych podczas orgazmu, ponieważ seks jako taki również wiąże się z niezwykle silnym pobudzeniem układu nagrody. Jest on również pobudzany m.in. podczas opalania, jedzenia niektórych przypraw, śmiechu czy wysiłku fizycznego. Co ciekawe, jednym ze źródeł „chemicznego szczęścia” jest również przeżycie estetyczne związane tak z odbiorem, jak i tworzeniem sztuki.



MÓZG – ARTYSTA

Sztuka jest odpowiedzialna za rozwój tzw. uwagi poznawczej. Chodzi tu o zdolność do wybiórczego skupiania swojej uwagi na bodźcach intelektualnych przez okres, który pozwala zakodować i zapisać je w pamięci roboczej. Będąc koneserem sztuki, możemy poszerzyć swoje umiejętności koncentracji i odbierania poszczególnych elementów rzeczywistości. Potwierdzają to dwa niezależne badania. Pierwsze – statystyczne – pokazuje, że ludzie z wykształceniem artystycznym mają zwykle lepsze osiągnięcia akademickie. Drugie – neurologiczne – wskazuje, że mózgi plastyków różnią się od mózgów osób niezajmujących się działalnością artystyczną. Na korzyść tych pierwszych.

Do tego dochodzi neurologiczne spojrzenie na akt tworczy i zjawisko kreatywności. Badania przeprowadzane na

raperach podczas hip-hopowego freestyle'u wskazują, że mózg regulując się od dołu wytwarza w artyście wrażenie, że tworzy on z niczym nieskrępowanej woli. Dzieło jakby wypływa spoza jego świadomości, dając poczucie braku ograniczeń, zwykle nakładanych na siebie podczas racjonalnego myślenia.

Zatem sztuka to doznanie przyjemności, poszerzenia percepcji i braku skрэpowania. Wszystko to, co w sposób chemiczny dają nam narkotyki. Przestaje dziwić, że od działalności artysty poszukującego twórczej aktywności tak blisko do stosowania środków psychoaktywnych.

ARTYSTA – NARKOTYK

Nie można sprowadzić nas do sieci neuronów i impulsów elektrycznych. W końcu sami neuronaukowcy coraz częściej mówią o umyśle osadzonym i ucieleśnionym w kulturze. W analizie konkretnego zjawiska nie do przecenienia jest wpływ środowiska i indywidualnych predyspozycji. Tak samo trudno nie zauważyć, że zwłaszcza w bohemach artystycznych stosowanie używek było rzeczą naturalną i w oczywisty sposób łączącą się ze sztuką. Wspomniana chęć głębszego poznania z pewnością nie jest jedynym źródłem stosunkowo częstej korelacji między działalnością artystyczną a uzależnieniem od narkotyków. Ważną rolę odgrywa również czynnik społecznego przyzwolenia i mit artysty narkomana, który z ciekawości sięga po różne środki psychoaktywne.

Osobowe przykłady narkotycznej twórczości można mnożyć praktycznie w nieskończoność. Philip K. Dick pod wpływem LSD był w stanie pobijać rekordy szybkości tworzenia, pisząc po 60 stron dziennie i wzbudzając zazdrość literatów wylewających siódme poty nad każdym zdaniem. Witkacy całą swoją twórczość oparł na wielkim eksperymencie z używkami najróżniejszej maści. Francuski Klub Haszyszystów w XIX w. skupiał znanych malarzy i poetów. Do grona zafascynowanych tym niebezpiecznym obiektem inspiracji można zaliczyć jeszcze Ernesta Hemingwaya, Trumana Capote'a, Jima Morrisona, Kurta Cobaina, Judy Garland i wielu, wielu innych. Muzy rzadko przemawiała racjonalnym „myślę więc jestem”, z kolei ostrzeżenia Wisławy Szymborskiej – „od sherry nogi cztery” czy „od cinzano konwulsje rano” – do dziś nie zyskują wielkiego posłuchu. Na używkach

się tworzyło i o używkach także.

Odkrycie możliwości twórczych, jakie dają tego rodzaju wspomagacze, nie było zresztą dokonaniem współczesności. Początki sztuki można śmiało powiązać ze zjawiskiem szamanizmu i różnego rodzaju środkami halucynogennymi. Religie pierwotne bardzo często korzystały ze środków poszerzających zdolności poznawcze, a sztuka pełniła w nich rolę formy wyrażenia tego ponadnaturalnego doświadczenia. Zgodnie z opisami jest to doświadczenie kontaktu z transcendencją, ludzko podobne do doświadczenia mistycznego. Tym samym jedną z podstawowych przyczyn sięgania przez artystę po środki psychotropowe jest pragnienie wyjścia poza swoje codzienne możliwości. Znalezienie jak najlepszego źródła inspiracji, ale i pobudzenia się do pracy twórczej.

Narkotyki odpowiedzialne za zmiany naszej percepcji, poczucia świadomości, klasyfikowane są jako tzw. psychodeliki. Sama etymologia tego wyrazu kieruje nas na pierwotną intuicję na temat właściwości, jaką im przypisywano. Składa się on z połączenia greckich słów: *psyche* – dusza – i *delein* – objawiać. Opiera się to właśnie na przekonaniu, że środek ten pomoże odkryć nieużywane potencjały umysłu, co dla artysty jest wyjątkową szansą.

Jak się okazuje, rodzaj sztuki oraz wybór substancji nie pozostaje tu bez znaczenia. W końcu w całej swojej twórczości starał się to dogłębnie zbadać Witkacy. Zresztą nie był on jedyny. Znany amerykański performer Bryan Lewis Saunders prowadził eksperyment, w którym codziennie przyjmował innego rodzaju narkotyki i środki halucynogenne, po czym za każdym razem tworzył swój autoportret. Wynikiem tych działań jest imponujące zestaw najróżniejszych przedstawień samego twórcy. Tak samo jak różne jest samopoczucie po zażyciu określonych narkotyków, tak też różna jest powstająca na ich podstawie sztuka. W takim wypadku nie tylko sztuka kształtuje nasz mózg, ale i mózg sztukę, a wszystko tak naprawdę toczy się wokół naszego nastroju i odbioru rzeczywistości.

Analizując dzieła i pracę twórczą konkretnego artysty, nie można zapominać o jego indywidualnych doświadczeniach, wpływie wychowania, historii życia, aspiracjach i wreszcie celach artystycznych. Nie ma także żadnego sensu zastanawianie się, czy jakieś dzieło powstałoby bez wpływu narkotyków i czy twórczość danego artysty wyglądałaby tak samo, gdyby nie stosował on



psychodelików. Nie do rozstrzygnięcia jest spór, czy więcej w związku artysta–narkotyki jest neurologii, kultury, psychologii, metafizyki czy autokreacji, lecz  w mózgu zaczyna się i uzależnienie, i miłość do sztuki.

MATEUSZ TOFILSKI

Jest już prawie absolwentem Indywidualnych Studiów Międzyobszarowych z Katowic. Interesuje się przede wszystkim filozofią (szczególnie filozofią umysłu) i regionem, czyli Śląskiem. W czasie wolnym czyta, ogląda i spaceruje z psem.

EWA NOWAK

Absolwentka Liceum Plastycznego w Radomiu, UJK w Kielcach na kierunku Edukacja Artystyczna oraz Szkoły Projektowania Ubioru MUR we Wrocławiu. Chętnie imająca się wszelkich prac związanych z szeroko rozumianym pojęciem sztuki: od wykonywania ilustracji po „estetyczne” układanie w szafie ciuchów.



EUROBUBBLE, CZYLI KEEP CALM AND NETWORK

KATARZYNA NOWACKA | KAJETAN VON KAZANOWSKI

W poszukiwaniu narkotyków miałam już zamiar ruszać na internetowy *research* do Azji, nosiłam się bowiem z zamiarem napisania o betelu – raczej mało znanej w Europie używce, która plasuje się w *top five* tych najbardziej spożywanych na świecie. Nie trzeba było jednak tak daleko szukać, żeby znaleźć równie popularny narkotyk, który nie trafia do podobnych zestawień – ostatecznie zostaję więc na Starym Kontynencie, żeby przyjrzeć się innemu fascynującemu nałogowi: uzależnieniu od kariery zawodowej. Zapraszam na krótką wycieczkę do małego kraju, w którym obecnie rezyduję – witajcie w Belgii, gdzie znajdziecie nie tylko piwo i czekoladę, ale również centrum dowódzenia Unii Europejskiej.

Bruksela to dość specyficzne miejsce. Niewielkie miasto zaludnione jest gęsto międzynarodowym tłumem w garniturach i garsonkach – większość to urzędnicy

i pracownicy korporacji, co samo w sobie nie byłoby specjalnie zaskakującym środowiskiem pracy. Różnica polega jednak na tym, że ta „korporacja” często nazywa się np. Komisja Europejska, Parlament Europejski, NATO lub Europejska Agencja ds. Czegoś tam, a elegancko ubrani ludzie przedstawiają się nam jako *policy officers*, *lobbyists*, *consultants*, *programme managers* albo wręcz rzucą luźno, że pracują dla – tutaj pada nazwisko wpływowego polityka, komisarza albo dyrektora generalnego. Nigdy nie słyszeliście o tej osobie? To znaczy, że nie zadomowiliście się jeszcze w Eurobańce!

WHAT'S YOUR CAREER PATH?

Dla mnie to ciągle nowe środowisko, bowiem w stolicy Europy mieszkam dopiero od 3 miesięcy, ale muszę przyznać, że jestem już do niego przyzwyczajona. Główny trick polega na tym, żeby od pierwszego dnia pobytu w Belgii wtopić się w eurokratyczne otoczenie i zachowy-

wać się, jakby było się tutaj od zawsze: z niezachwianą pewnością siebie uczestniczyć w spotkaniach biznesowych, konferencjach i bankietach, zwracać na siebie uwagę wyższych rangą urzędników i managerów, sprzedawać swoje umiejętności oraz maskować i nadrabiać braki (pewna siebie mina i improwizacja, ale również długie godziny googlowania rozmaitych nazwisk, programów, dyrektyw etc.), przemawiać do mikrofonu, kroczyć po puchatym niebieskim dywanie holenderskiej prezydencji w Radzie Europy jakby ten leżał u nas w salonie od 10 lat i już nam zbrzydł... Wypada więc być najwyższej rangi specjalistą (albo grać takiego), na którym nic nie robi już wrażenia i który przede wszystkim może się pochwalić rozległymi kontaktami – listę wpływowych osobistości ma w małym palcu i dąży do nawiązania osobistych z nimi znajomości. Jeśli pojawi się przypadkiem ktoś nowy, nigdy nie wiadomo, czy i taka osoba nie przyda się w przyszłości. Delikwenta należy zatem postawić w krzyżowym ogniu pytań: przeskanować jego karierę zawodową do kilku lat wstecz, dokładnie wywiedzieć się, jakie są jego możliwości i wpływy na obecnym stanowisku, oraz wybadać, jak rysują się jego plany. Nie zaszkodzi też zdobyć informacje, iloma językami biegle się posługuje. Brzmi jak solidna dawka opowieści z czyjegoes życia, prawda? Nic bardziej mylnego – taki obustronny wywiad zdążymy zakończyć, zanim dotrzemy do połowy pierwszej lampki darmowego szampana. Żadnych sentymentów ani niepotrzebnych detali, kontakty wymienione, a my, między koreczkiem a krakersem, ruszamy dalej!

O ile na spotkaniach związanych z pracą taki agresywny *networking* jest jeszcze jakoś wytłumaczalny, to nie sądzę, żeby kiedyś udało mi się zaakceptować tę formę rozmowy w sytuacjach nieformalnych, po godzinach. Wybieram się na spotkanie ze znajomymi – piątek wieczorem, czyjeś mieszkanie (nie wypada mi już chyba powiedzieć „domówka?”), dwadzieścia kilka osób, większości nie znam zbyt dobrze. Na pierwszy rzut oka normalnie: spore ilości piwa i wina, przekąski, głośna muzyka, oprowadzanie po mieszkaniu, żarty, wycieczka na balkon na papierosa itd. Wszystko gra do momentu, kiedy ktoś całkiem na poważnie zaczyna: „Jaka jest twoja ścieżka kariery?”. Zamuruję mnie z butelką w dłoń,

**”
SPORE ILOŚCI
PIWA I WINA,
PRZEKĄSKI,
GŁOŚNA MUZYKA,
OPROWADZANIE PO
MIESZKANIU, ŻARTY,
WYCIECZKA NA
BALKON NA
PAPIEROSA
ITD. WSZYSTKO GRA
DO MOMENTU, KIEDY
KTOŚ CAŁKIEM NA
POWAŻNIE ZACZYNA:
„JAKA JEST TWOJA
ŚCIEŻKA KARIERY?”**

nie wiem właściwie, czy mam na poważnie na to pytanie odpowiedzieć, czy może obrócić się na pięcie i poszukać jakiegoś zabawniejszego towarzystwa. Albo w ogóle zabrać zgrzewkę piwa i zaszyć się w jakimś kącie, gdzie nikt nie będzie prześwietlał mojego życiorysu. Trochę się jeszcze w tym kółeczku męczę i grzecznie kontynuuję rozmowę; wszyscy z ożywieniem dopytują, ile każdy zna języków obcych, jakie kto ma wykształcenie i co z planami na przyszłość. Gdzieś pomiędzy niekończącymi się przechwałkami, kto to już w jakiej agencji rządowej albo w jakim kraju nie pracował, zostają jeszcze z 5 razy zagadnięta o tę nieszczęsną ścieżkę kariery (która, *notabene*, oczywiście nie istnieje), a pytanie *what's your background*



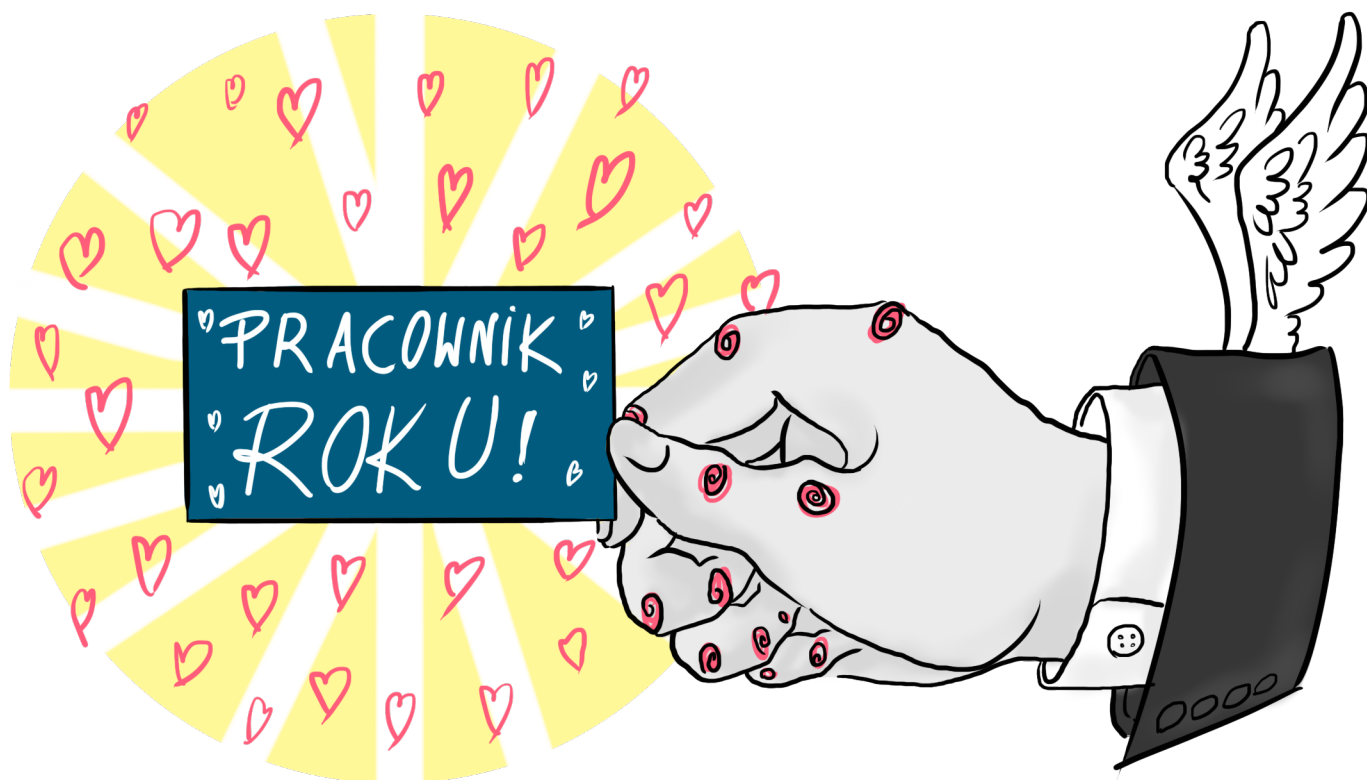
zacznie mi się pewnie niedługo śnić po nocach. To czysta wycena rynkowa: porównać się z innymi, żeby zobaczyć, jak się plasujemy na tej giełdzie talentów, i równocześnie ocenić, czy mogą nam się te nowe znajomości przydać, teraz albo w przyszłości. Nie tak wyobrażałam sobie piątkowy wieczór, ale wydaje się, że jestem jedną z niewielu osób, którym to przeszkadza – większość opętana jest demonem *networkingu*. Nawet 5 min przerwy mogłoby oznaczać zaprzepaszczenie możliwości zawarcia jakiejś cennej znajomości albo utratę fasonu i złe sprzedanie swojego wizerunku.

Co ciekawe, podobne sytuacje zdarzają się w jeszcze mniej formalnych okolicznościach, vide: gra w badminton, którą co tydzień organizuję ze znajomą z pracy (koleżanka pochodzi z kraju X, skończyła uniwersytet Y, pracowała wcześniej dla agencji Z, zna cztery języki, co stanowi raczej średni wynik... Oczywiście żartuję, chociaż warto znowu podkreślić, że w 90% całkiem na poważnie właśnie takimi torami toczyłby się dalej ten temat). Ostatnio na treningu pojawiły się dwie nowe osoby: przedstawivszy się sobie, bez zbędnych ceregieli oddaliśmy się grze. Wszystko fajnie, luźna atmosfera, trochę już sobie pobiegaliśmy za lotką, lekka zadyszka, więc lody przełamane, aż tu w czasie krótkiej przerwy podchodzi do mnie jeden z nowych kolegów i w mocno obcesowy sposób pyta o moją pracę, historię uniwersytecką i zawodową oraz plany na przyszłość. W tym momencie nie pamiętam nawet jego imienia i kompletnie nie interesuje mnie tego typu rozmowa – jestem bądź co bądź na treningu, więc bardziej ciekawi mnie własny dres albo to, jak ktoś odbierze podanie, na co CV młodego eurokraty chyba nie ma wielkiego wpływu. Obracam się jednak w środowisku, w którym jest to powszechnie przyjęty schemat konwersacji zapoznawczej. Z grubsza więc coś tam o sobie mówię, mamroczę ze dwa pytania, żeby postępować według zasad i dać drugiej osobie szansę opowiedzenia, jaki jest jej *background*, po czym szybko inicjuję kolejną turę gry i celowo przeganiam ludzi po całym boisku, żeby nie mieli już szans dręczyć mnie rozmową.

NA PAPIERZE BARDZIEJ SIĘ LICZY

Kolejnym elementem budowania swojego wizerunku i osiągania lepszych wyników w *networkingu* są wizytówki. Mnie kojarzą się one z uroczą retromodą albo z wielbiącymi wszelkie rodzaje papieru Japończykami; pamiętam też wizytówkowy szal początku lat 90., zaraz po przemianach ustrojowych, kiedy to rzesze Polaków pootwierały swoje własne mikrobiznesy, a każdy obowiązkowo drukował sobie tony wizytówek i rozdawał je na prawo i lewo. Przypominam sobie nawet przelotną modę w podstawówce, gdy większość dzieciaków mogła pochwalić się własną wizytówką (pewnie z domowym numerem rodziców na różowym albo niebieskim tłoczonym papierze, bo raczej nie mieliśmy jeszcze telefonów komórkowych!). Tymczasem okazuje się, że w niektórych kręgach kultura wizytówek ma się całkiem dobrze i gromadzi coraz to nowych użytkowników. Stażyści po cichu rozdają kartoniki, na których napisane jest, że pracują w którejś z instytucji unijnych, chociaż, oczywiście, jest to zabronione, nie są oni bowiem funkcjonariuszami publicznymi ani nie reprezentują organów rządowych. Jeśli zapadnie decyzja, że nowy kontakt jeszcze kiedyś nam się przyda, to przeważnie odbywa się też tradycyjna wymiana kontaktów na fejsiku, ale wiadomo, że wizytówka zrobi lepsze wrażenie! To ciekawe zresztą, jak kawałek papieru stał się bardziej prestiżowy niż kontakty internetowe – jeszcze niecałe 20 lat temu umieraliśmy z podniecania mogąc wymienić ze sobą adresy poczty elektronicznej i wysyłać maile, a teraz kiwamy głową z podziwem nad zaoferowaną nam wizytówką!

Ważna rada: zadbajcie o to, aby na bieżąco uzupełniać swój zapas wizytówek. Kilka dni temu byłam świadkiem sceny, kiedy to dwóch młodych mężczyzn stojących pośród większej grupy ludzi zapragnęło wymienić się kontaktami. Jeden z dumą obwieścił, że może zaoferować swoją wizytówkę, co drugiego lekko zawstydziło, ponieważ sam firmowego kartonika nie posiadał. Sytuacja szybko się jednak obróciła, ponieważ, ku uciesze (oraz złośliwej satysfakcji) wszystkich zgromadzonych, pierw-



szy z mężczyzną sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki (rzecz odbywała się zresztą na trawiastym skwerku, ale przy *networking drinks* po pracy również obowiązują biurowe stroje) po to tylko, by wyciągnąwszy srebrne etui na wizytówki, przekonać się, że jest ono całkiem puste. „Och, musiałem najwidoczniej dać dzisiaj komuś ostatnią...” – tłumaczy się cicho biedak.

CZY MOŻNA MIEĆ ZŁY DZIEŃ?

Po pracy i przynajmniej jednej rundzie *networking drinks* – tak, można po prostu zostać w domu i odwołać wszystkie plany, młode Euro-korpo musi być w końcu strasznie zmęczone wykazywaniem się w biurze, siedzeniem po godzinach, *networkingiem* w porze lunchu i w ogóle dbaniem o wszystkie kontakty oraz o odpo-

wiedni rozwój swojej kariery. Ale w wolnym czasie również warto się trochę pomartwić o przyszłość i spędzać długie godziny przed komputerem szukając pracy. Wiadomo, każdy młody stażysta albo wykonawca krótkiego kontraktu chciałby się zaczepić w Eurobańce, a pół roku praktyk mija, zanim zdążymy się obejrzeć.

I tak na przykład spotkałam się kiedyś z koleżankami – umówiłyśmy się do kina – i jakoś wyszło w rozmowie, że wszystkie mamy nie najlepszy humor i trochę zmarnowałyśmy dzień. Pomyślałam, że może to niekorzystna aura czy coś, różnie przecież bywa, i trochę mi się zrobiło lżej, po tym jak sobie chwilę ponarzekałyśmy. Szybko okazało się jednak, że wszystkie co do jednej zgromadzone tam osoby (oprócz mnie oczywiście!) martwiły się o swoją

karierę, a zły nastrój oraz poczucie straconego dnia wynikało z tego, że dziewczyny nie powysyłały tego dnia ani jednego podania o pracę. Jasne, rozumiem, że to istotna sprawa, każdego czasami nachodzą wyrzuty sumienia wobec nieproduktywnie spędzonego dnia, ale czy rzeczywiście praca nad rozwojem swojej kariery to jedyny możliwy temat rozmowy nawet w weekend? Tak czy siak mogłam sobie schować swój zły humor do kieszeni, w końcu nie miał on związku z (nie)aplikowaniem o pracę, także nie ma o czym gadać, prawda?

I jeszcze jedna zasada: nie narzekamy na pracę. Nawet jeśli jesteśmy najniższym rangą stażystą, który marnie zarabia i zajmuje się jakąś supernudną administracją, to nasza praca jest ciekawa, inspirująca, ma wielkie znaczenie lokalne, globalne i w ogóle każde; spotkania i konferencje tyle wnoszą do naszego życia, a *Head of Sector*, *Head of Unit*, *Director General*, *MEP* czy w ogóle co drugi napotkany człowiek zaraża nas poczuciem misji i motywacją. A przynajmniej tak należy wszystkim opowiadać, nawet z bólem głowy, po dwunastej godzinie pracy przez komputerem i po otrzymaniu wiadomości o kolejnym niezakończonym projekcie. No i jeszcze nie można za-

pomnieć o mediach społecznościowych – tam też wrzucamy interesujące polityczne i społeczne treści, dzielimy się swoją inspiracją i motywacją; jak humor, to wyrafinowany, a jak zdjęcia, to w dobrym garniturze (dres ujdzie w przypadku pozwowania z afrykańskimi dziećmi albo ratowania zwierząt i lasów). Wszystko musi być pod kontrolą, bo jedno to opowiadać o swojej pracy, a drugie, że nasze nowe kontakty prędzej czy później nas sprawdzą!

YOUNG AND (DIS)CONNECTED

Wielu stażystów instytucji unijnych jest w moim wieku, czyli ma około 26 lat – akurat zdążyli zrobić magistra i zdobyć sporo międzynarodowego doświadczenia na rozmaitych wymianach i praktykach, znają minimum 4 języki – takie CV ma szansę teleportować nas w sam środek Eurobańki, choć niektórzy muszą pracować na to dłużej i ponad 30-letni stażyści również nie należą do rzadkości. Najbardziej zastanawiam się jednak nad tymi najmłodszymi, bo trafia tutaj także znaczna grupa 22-latków. Czy to nie odrobinę za wcześnie na taki ekstremalny zwrot w stronę kariery? Oczywiście, nic nie może się równać z tak fascynującym doświadczeniem zawodowym, jakim jest wylądowanie w administracyjnym i politycznym sercu Europy. Tyle, że cały ten styl życia bardzo wpływa na człowieka, zmienia jego przyzwyczajenia, aspiracje, wyobrażenia o zawodowym świecie. Do jakiego stopnia dla takich młodych ludzi będzie to „pranie mózgu”? Czy będą w stanie wrócić na studia magisterskie do swojego albo jakiegoś innego kraju i żyć dalej „normalnie”, czy wszyscy pozostaną oświeconymi korpo-eurokratycznymi ambicjami? Nie chcę dramatyzować czy rozstrzygać katastroficznych wizji – zastanawiam się po prostu, czy młodzież nie powinna być młodzieżą trochę dłużej, zanim wbije się w garnitur, wydrukuje wizytówki i zacznie lobbować na brukselskich salonach.

Z drugiej strony, młodzi ludzie – mam na myśli takich kilka lat młodszych ode mnie – wydają się rewelacyjnie przygotowani do wejścia w ten profesjonalny świat. Mają zaprojektowane fachowe CV i listy motywacyjne, jeszcze będąc w szkole zaczynają robić wartościowe (przynajmniej na



papierze) praktyki, po mistrzowsku posługują się mediami społecznościowymi, są świetni w nawiązywaniu kontaktów. Miałam okazję się temu trochę poprzyglądać na przykładzie 19-latka z Francji, który przelotnie przewinął się przez moje biuro jako *atypical staigiaire*. Chłopak mówi całkiem niezle po angielsku (pracując w międzynarodowym środowisku spokojnie już niedługo pozbędzie się francuskiego akcentu, który nawet teraz nie jest silny), spędził już rok w Stanach (gdzie przez chwilę był gwiazdą Twittera przy okazji jakiegoś wydarzenia sportowego), robił praktyki we francuskiej telewizji i gdzieś tam jeszcze, a teraz w ramach stażu obowiązkowego na pierwszym roku studiów przez zahaczył o Komisję Europejską. Na LinkedInie ma 3-krotnie więcej kontaktów niż ja i dużo bardziej rozbudowane opisy „stanowisk”, które zajmował, a niedawno opracował sobie fajny *Euro-pass*¹ (którego ja jeszcze, rzecz jasna, nie mam i o którego istnieniu dowiedziałam się dopiero jakiś miesiąc temu). Nie chcę zgrywać tutaj staruszki, ale oczywistym jest, że ludzie urodzeni, powiedzmy, po 1995 roku inaczej używają narzędzi typu Facebook, Twitter czy LinkedIn, bo praktycznie z nimi dorastali; inna będzie też ich świadomość rozwijania swojej kariery zawodowej, zdobywania doświadczenia i budowania CV. Pewnie jeszcze będąc w szkole wyjadą na zagraniczne praktyki, a ostatecznie trafią na profesjonalny rynek zawodowy dużo wcześniej niż

ja i moi rówieśnicy. Prędzej dostaną się więc również do Eurobańki.

I chociaż postaje pytanie, komu na ile ten zawodowy wyścig się udzieli, a temat kariery wydaje się praktycznie nie do obejścia, mam pewnego kolegę, z którym o pracy nie rozmawiam. Poznaliśmy się zaraz na początku mojego pobytu w Brukseli, kompletnie przypadkowo. On mieszka tutaj dłużej, a więc jest zorientowany w realiach życia stażystów oraz zna europejskie środowisko, chociaż sam pracuje w jakimś innym sektorze. Jakimś? Tak, jakimś! Umówiliśmy się, że nie będziemy się wzajemnie o takie rzeczy pytać i zachowaliśmy w tajemnicy, w jakiej branży i na jakim stanowisku każde z nas pracuje. To działa!

Z wnętrza Eurobańki raportowałam ja, czyli *Blue Book Trainee* w Komisji Europejskiej. Rozdałabym na koniec wizytówki, ale nie dość, że nie stać mnie na ich wydrukowanie, to i tak nie wiedziałabym, co na nich napisać. 🙄

¹ Jest to zestaw pięciu dokumentów pozwalających zaprezentować umiejętności i kwalifikacje w sposób jasny i zrozumiały w całej Europie.

Dwa dokumenty są ogólnodostępne dla obywateli europejskich i można wypełnić je samodzielnie:

Curriculum Vitae pomaga zaprezentować posiadane umiejętności i kwalifikacje w sposób jasny i efektywny. [...]

Paszport Językowy jest narzędziem samooceny umiejętności i kwalifikacji językowych. [...]

Pozostałe trzy dokumenty wydawane są przez instytucje edukacyjne i szkoleniowe:

Europass - mobilność zawiera informacje na temat wiedzy i kwalifikacji nabytych w innym kraju europejskim.

Suplement do Dyplomu Potwierdzającego Kwalifikacje Zawodowe zawiera informacje na temat wiedzy i kwalifikacji nabytych przez posiadacza dyplomu ukończenia kształcenia zawodowego. [...]

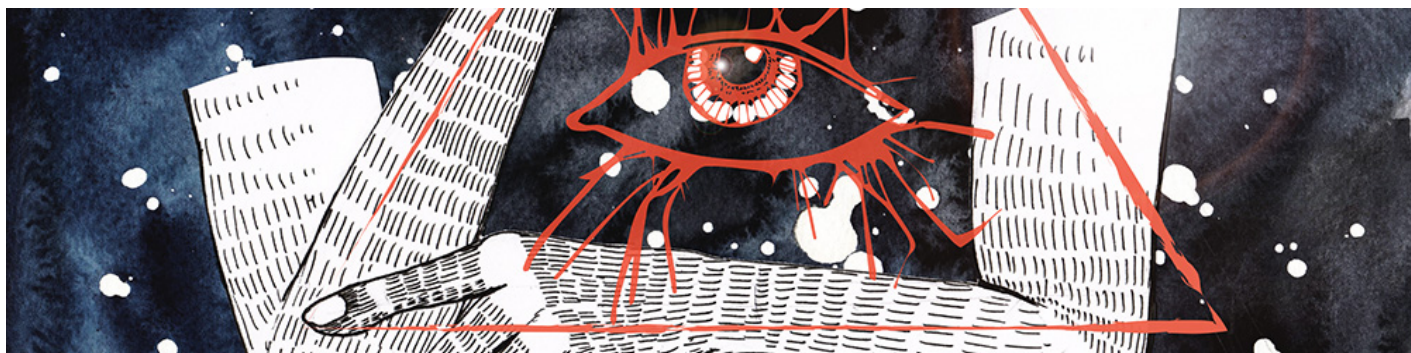
Suplement do Dyplomu zawiera informacje na temat wiedzy i kwalifikacji nabytych przez posiadacza dyplomu ukończenia studiów wyższych. [cyt. za: <http://europass.cedefop.europa.eu/pl/about>]

KATARZYNA NOWACKA

Krakuska, miastofilka, miłośniczka morza i żyraf, absolwentka filmoznawstwa. Interesuje się kulturą, podróżami i sportem. Ma słomiany zapał, ale dzięki temu ciągle się czegoś uczy.

KAJETAN VON KAZANOWSKI

Absolwent projektowania ubioru, spędzający wolne chwile rysując przy komputerze. Pieprzony esteta, zachwycający się każdym odstępstwem od normy, oraz fanatyk muzyki, wydający ostatni grosz na kolejną płytę.



WŁADCY MARIONETEK

ALICJA MESZCZYK | KASIA SURO

Na Illuminatach zna się każdy. Specjalistów w każdym wieku – od 13 do 70 lat – znajdziemy na forach dotyczących gier, portalach poświęconych sprzedaży ubrań czy vlogach celujących w demaskowanie spisków. W największym skrócie tę tajną organizację traktuje się jako satanistów, ostentacyjnie i nonszalancko pojawiających się w popkulturze, by zwalczać chrześcijańską moralność.

Kiedy zapytamy Google'a, kim są Iluminaci, jako pierwszy pojawi się złowrogo brzmiący post na blogu „Kobieta wychowana wśród *Illuminati* opisuje potężną, sekretną organizację”, następnie liczne strony samopomocy (pokroju zapytaj.pl) i wyjaśnienia samozwańczych znawców tematu. Przykładem demaskatorskich definicji jest komentarz Minecraftowego serwerzysty :D na zapytaj.pl, który Illuminatów opisuje w taki sposób (pisownia oryginalna): „Nie zabijają nie koniecznie są bogaci. Illuminaci to wyznawcy szatana. Oni nie chcą nas zabić tylko nas zniewolić i tyle. Jeśli chodzi o tych muzyków to oni nie-

raz pokazywali znaki szatana i/lub Illuminantów więc są uważani że podpisali cyrograf (umowę z diabłem) i mogą należeć do Illuminatów”.

Zarówno w definicji dostępnej na Szyszon's Canal, jak i w setkach amatorskich opisów powtarza się hasło „sekretna” – najwyraźniej jednak wiedza tajemna wśród fanów teorii spiskowych jest szeroko spopularyzowana. Zwłaszcza na temat prób zniewolenia społeczeństwa. Podporządkowanie sobie ludzkości według większości jest głównym celem Illuminatów. Na przeszkodzie stoi im chrześcijaństwo, które „znienacka” wkroczyło na arenę dziejów, przerywając ekspansję Moźnych i Mrocznych, jak określa się członków tej organizacji. Szyszon's Canal na podstawie własnych – oczywiście pogłębianych – badań odkrywa przed nami karty przeszłości Illuminatów. Ich pierwszym przywódcą miał być Galileusz, jednak sprytny Kościół szybko zorientował się, kto zacz, i spalił nikczemnika na stosie. W kolejnych zdaniach Szyszon's Canal podważa teorie dostępne w internecie i utrzymuje,

że Iluminaci nie tyle sprzeciwiają się samemu Kościołowi, co hamowaniu rozwoju nauki.

PODSTĘPNE MINIONKI

Iluminaci zaznaczają swoją obecność i prowadzą indoktrynację w miejscach, gdzie się przeciętnym zjadaczom chleba nie śniło! Szczęśliwie współcześni posiadacze wiedzy tajemnej wytoczyli krucjatę oświecenia przeciwko podłym satanistom. Dzięki licznym i wnikliwym analizom na blogach, vlogach czy forach możemy dowiedzieć się, że Iluminaci próbują bezpardonowo zawładnąć umysłami naszych pociech poprzez filmy animowane. Zauważyć da się to już w charakterystycznym napisie Walt Disney, w którym sprytni sekciarze umieścili trzy szóstki, a każdej disnejowskiej księżniczce kazali pokazać delikatną „rogatą dłoń” (palce wskazujący i mały wysunięte i oddalone od serdecznego i środkowego).

Iluminaci nie ograniczają się jednak do takich subtelności. Przykładem jest film *Jak ukraść Księżyc* (2010, Chris Renaud, Pierre Coffin) i pozornie pocziwy minionek Stuart. Czućny widz dostrzeże w nim jednak reprezentanta Iluminatów – ma bowiem jedno oko. Jakie zagrożenie nieść może film dla młodych widzów? Otóż dzieci – jak informuje w swojej analizie Robert Brzoza – „będą identyfikować się z różnymi gadżetami, nazwami, historiami iluminatów, w których przemycane są tematy satanistyczne”. Nie będą nigdy szczęśliwe, bo będą żyły w nihilistycznym i zdeprawowanym seksualnie świecie. Internauta przestrzega – nie pozwól, żeby zagroziło to twojemu dziecku, starannie i świadomie wybieraj animacje!

Czasami perswazja przybiera bardziej fizyczny wymiar. Dzieci mogą bowiem zostać poddane okrutnej tresurze,

mającej wyszkolić ich na superzabójców – Iluminaci zamykają dziecko w klatce, rażą je prądem, a potem każą zabić kotka. Jeśli dziecko się wzbrania, ponownie zamyka się je klatce i torturuje dłużej – ostatecznie dziecko zabija kotka, a potem coraz większe zwierzątka, czasami nawet noworodki. Ten pełen grozy scenariusz na razie uskutecznił tylko wewnątrz organizacji, więc sprytni Iluminaci opanowali także cały przemysł rozrywkowy. Zatem jeśli jakimś cudem pociecha okazałaby się niepodatna na tajny przekaz w bajkach, stanowczo nie należy spać spokojnie.

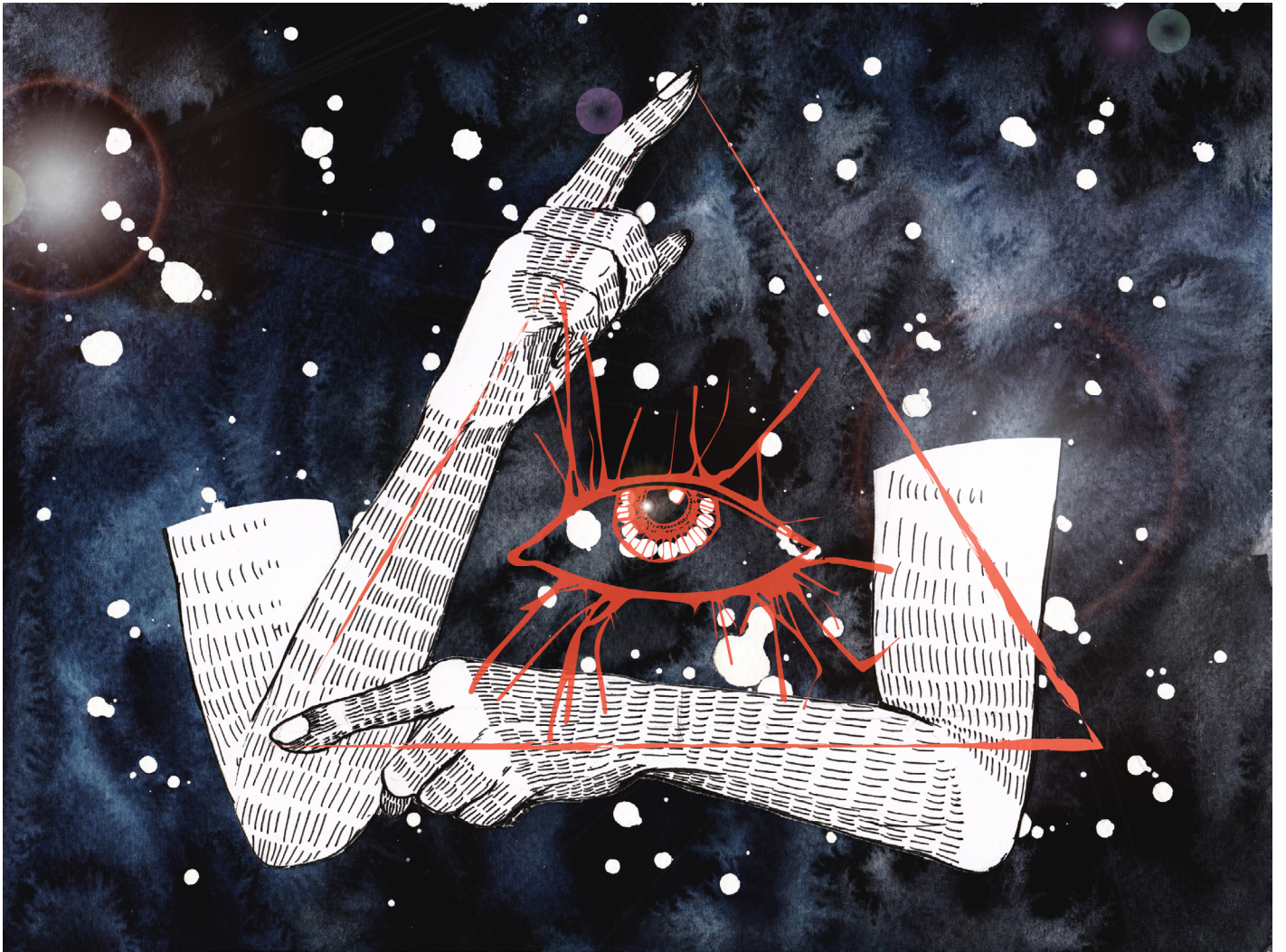
FALANGA Z „KLUBU MYSZKI MIKI”

Jedna z użytkowniczek for kobiecych (na stronie vinted.pl) objawia nam tajemnicę sukcesu współczesnych gwiazd, które za pośrednictwem Iluminatów sprzedają dusze diabłu za krótką chwilę chwały. Swoją karierę muszą też poświęcić na przemycanie najtajniejszych symboli, by organizacja rosła w siłę, a ludziom – po wypraniu mózgów – żyło się niemoralniej.

Tendencja do sprzedawania duszy w celach marketingowo-zarobkowych jest oczywiście powodem, dla którego – jakże przecież zdolni – polscy artyści nie mogą się wybić poza granicami kraju. Są zbyt moralni i chrześcijańscy. Ba, żeby tylko tyle! Polska w dalszym ciągu powinna szczyścić się przydomkiem przedmurza chrześcijaństwa, bowiem jest dla Lucifera solą w oku i – co gorsza – przeszkodą w realizacji tajnych planów przejęcia władzy nad światem. Wyjątek wśród polskich artystów – jak utrzymuje Michał W na stronie wolna-polska.pl – zdeprawowana Doda, która wykorzystując swą popularność i wpływowość (tak, tak), stała się niosącą iluminacji kaganek w naszym kraju. Autor wpisu przywołuje utwór *Bad girl* – w teledysku kuszące, niemoralne pół-dziewczeta,

”

**ILUMINACI ZAMYKAJĄ DZIECKO
W KLATCE, RAŻĄ JE PRĄDEM,
A POTEM KAŻĄ ZABIĆ KOTKA.**



pół-roboty żyją w świecie przyszłości, w którym nie szanuje się ludzkiego ciała (dochodzi tutaj do aktów kaniibalizmu i nekrofilii). Widzom zostaje też zaprezentowana pigułka, którą będą musieli przełknąć – oznacza ona nowy porządek świata.

„Żołnierze słusznej sprawy” do szwadronów Iluminatów rekrutowani są nawet z *Klubu Przyjaciół Myszki Miki* (to nie żart!). Spośród zagranicznych gwiazd wybrano również Rihannę, Eminema czy Beyoncé. Nawiązania do Illuminati, które możemy znaleźć w ich teledyskach czy na występach, są aż nadto wyraźne. Jak inaczej rozumieć składanie dłoni w kształt trójkąta – jak często robi Jay Z na swoich koncertach? Oczywiście jest, że maczali w tym palce Iluminaci. Oko zasłonięte dłonią (jak w teledysku do *Telephone* Lady Gagi) – Iluminaci. Pięcioramienne gwiazdy (pentagramy!) w tle teledysku do *Rude Boy* Rihanny – Iluminaci. Oblicze szatana ukazujące się w strugach wody w klipie piosenki *Umbrella* tej samej piosenkarki – Iluminaci. Ściany w czarno-białą szachownicę? „Też coś symbolizuje, dokładnie nie wiem co”, jak rozbrajająco przyznaje Axxiu 13, autor vloga *Illuminati w przemyśle muzycznym*, analizując *You da one* wokalistki z Barbadosu. Inny wtajemniczony bloger (robertbrzoza.pl) zwraca uwagę, że takiego artysty nigdy nikt nie chciałby poznać prywatnie – bo wyuzdanie, bo dewiacje seksualne, alkohol, narkotyki, zadufanie.

Osoby, które nie chciały pomóc szatańskiemu ugrupowaniu, nie skończyły za dobrze. Te naprawdę niewygodne zostały zabite, pozostałe zaś padły ofiarą zniesławienia. Internauci jako przykłady iluminackiej vendetty przywołują podejrzanego o pedofilię Michaela Jacksona oraz oskarżonego o gwałt Tupaca. Dowodów na winę właściwie nie było, więc nietrudno się domyślić, co wydarzyło się naprawdę – Iluminaci!

JESZCZE BARDZIEJ PONURA RZECZYWISTOŚĆ

Internetowa orędowniczka dekonspiracji gorzko wzdycha: „heh żeby to tylko była taka »sekte«. to bym się nawet cieszyła. illuminati mają wpływ na WSZYSTKO”.

Pisząc „WSZYSTKO”, internautka przekonuje, że żyjemy w sztucznym świecie, całkowicie wykreowanym przez wszechwładnych Iluminatów, którzy jako jedyni znają prawdę o rzeczywistości. Właściwie oni oraz zwolennicy teorii spiskowych.

Chociaż 99% samych Iluminatów – co możemy odnaleźć w kolejnym internetowym kompendium – nigdy nie pozna celów i motywacji popychającej wyznawców szatana, wszyscy mogą je poznać m.in. dzięki łaskawości autora strony illuminaci.pl: „ostateczne i całkowite przejęcie władzy nad światem, ludźmi oraz bogactwami naturalnymi Ziemi”. Oznaczałoby to wprowadzenie Nowego Światowego Ładu, o którym wolnycielowiek pisze (czasprzebudzenia.wordpress.com), że przy nim „nazizm, czy komunizm wyglądają jak piknik”.

Czytelniku, jeśli kusi cię facepalm, słysząc wszystkie teorie spiskowe, powstrzymaj się. O to właśnie Iluminatom chodzi. Zgłoś weto i zatrzymaj mroczną, destrukcyjną siłę! Sprzeciw się pornografii, narkotykom i prostytucji nieletnich (główne źródła dochodu Iluminatów). I oczywiście módl się. Do dzieła! 🍷

ALICJA MESZCZYK

Absolwentka roszoznawstwa, UJ. Interesuje się mniej więcej wszystkim.

KASIA SURO

Jeździ po świecie w towarzystwie narysowanych przez siebie Szczurów. Ilustruje rozmaite historie, przeważnie zmyślane. Wszędzie gdzie trafi, trenuje brazylijską sztukę Capoeira.



GÓRA KANADYJSKICH PRZYJEMNOŚCI

KASIA JEZIORSKA | KAROLINA NIEDZIELSKA

Vancouver co roku ląduje wysoko w rankingu miejsc najlepszych do życia. Mam szczęście, że moja rodzina może sama zweryfikować, ile w tym prawdy – od lipca 2014 żyjemy w tym największym mieście zachodniej Kanady. Na dodatek nasze mieszkanie znajduje się w centrum Mount Pleasant, dzielnicy namaszczonej na mekkę hipsterów, wolnych ptaków i ogólnie wyluzowanych ludzi. Nie można było lepiej jej nazwać.

„Przyjemna Góra”, z widokiem na Downtown i Północny Vancouver, nie byłaby taka przyjemna, gdyby nie miejsca zielone, gdzie można się leniwie wyciągnąć, towarzysko rozgadać, usiąść z psem przy grillu. Można się u nas maślanym wzrokiem pogapić na otoczenie. Ręką trawę zieloną leniwie pomacać. A drugą ręką trawę niezieloną skręcić.

Znaczy się: medyczną marihuanę.

JAK TO W KANADZIE WYGLĄDA?

W Polsce jakieś niebotyczne lata więzienia czekają tego, kto mariuskę przy sobie posiada, bo władza wnikać nie bę-

dzie, na ile jest mu to potrzebne, by w cierpieniu ulżyć, o nie, ważne, że nielegalne, więc cap i mamy gostka. Medyczna marihuana jest z kolei legalna tak w Vancouver, w prowincji Kolumbia Brytyjska, jak i w całej Kanadzie, gdzie dostęp do problematycznego leku i jego produkcja są uregulowane ustawą rządową. Zostało wyraźnie powiedziane, ile można mieć na własny użytek oraz co zrobić, żeby dostać licencję producenta/sprzedawcy.

Ministerstwo Zdrowia wzbrania się co prawda przed nazwaniem jej lekarstwem, ale nie podważa prawa pacjentów do stosowania takiej formy terapii, o ile jest ona zalecona przez właściwą organizację medyczną i zarejestrowana we właściwym miejscu. Niedawno ministerstwo wydało najnowszą wersję przewodnika po medycznej marihuanie. Na ponad 150 stronach skrupulatnie opisano, jak stosować tę kontrowersyjną formę leczenia, a w stosunku do poprzedniej wersji manuala dorzucono sporo nowych informacji, m.in. o wpływie marihuany na niektóre choroby umysłowe czy jazdę samochodem. Rząd używa bardzo ostrożnych sformułowań, żeby broń boże nie zostać posądzonym o propagowanie zioła.

Odnoszę wrażenie, że do obrotu maryską Kanada podchodzi tak jak do sprzedaży alkoholu: nie polecamy, ale nie zabraniamy całkowicie, bo swój rozum macie, a poza tym wiadomo, że jak się czegoś zabroni, to na pewno będzie to można dostać w inny sposób. Nielegalny i niebezpieczny.

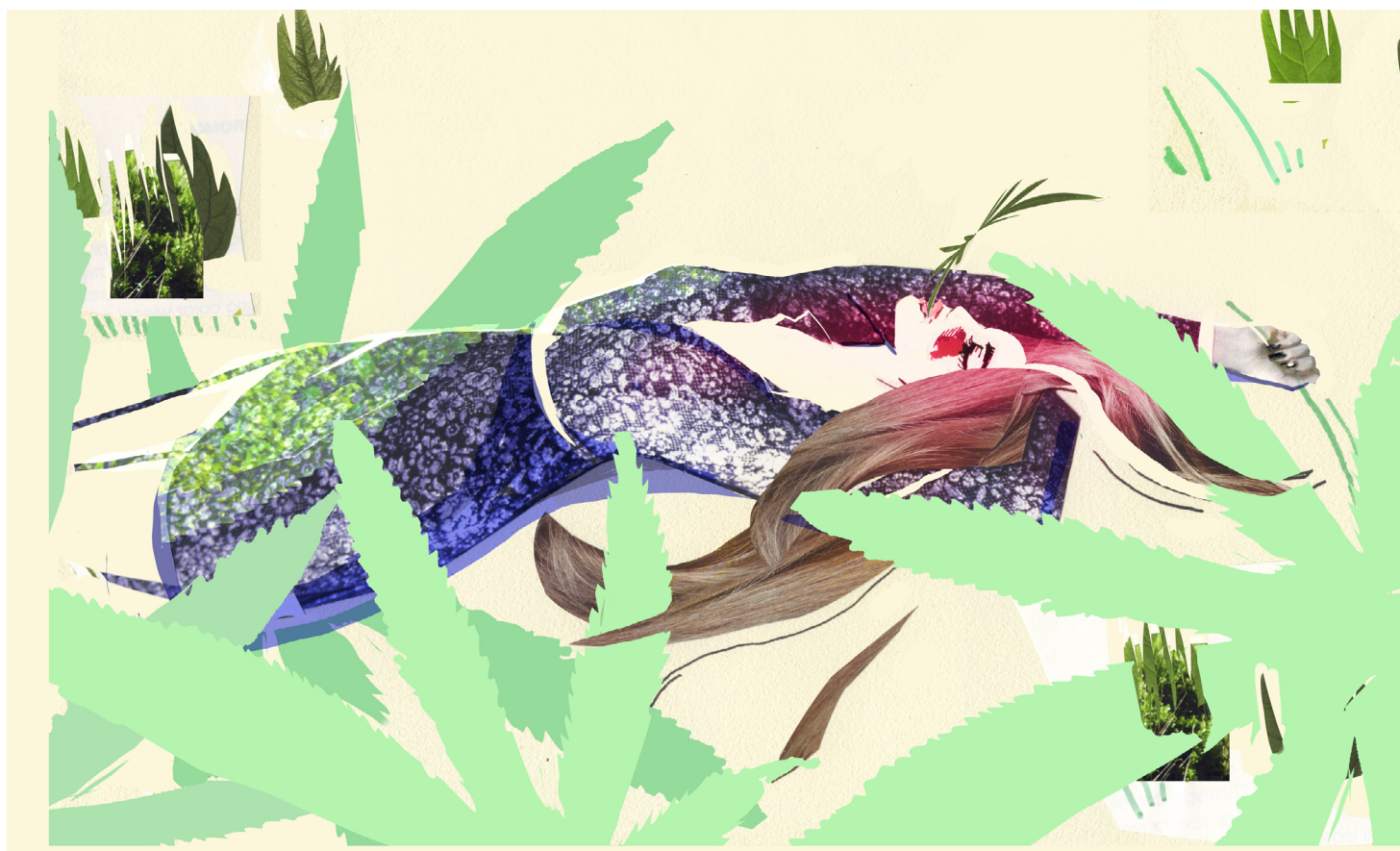
ZIOŁO, DASZ MIASTU ZAROBIĆ?

Mimo to jest obszar związany z tym biznesem, ukryty w wielkim limbo, który podniósł ciśnienie władzom naszego miasta. Chodzi o tzw. *pot shops*, w których sprzedaż leczniczej marihuany nie jest w Kanadzie uregulowana. W maju 2015 w Vancouver działało 85 takich przybytków. To specyficzne apteki-kluby, które próbują organizować coś w rodzaju wspólnoty, gdzie zakupów mogą dokonywać jedynie zarejestrowani członkowie, teoretycznie na podstawie recept. I to właśnie te sklepy były solą w oku rządu, a i miasto miało o czym myśleć.

Temat punktów sprzedających marihuanę, a konkretnie tego, czy Vancouver ma coś zrobić, żeby na nich zarobić, wałkowano rok temu we wszystkich gazetach. Z pierwszych stron listek mrugał znacząco i tylko miejscami pojawiały się informacje o trzęsieniu ziemi w Nepalu albo innym „pomniejszonym” wydarzeniu.

Jest się nad czym zastanawiać – biznes maryśkowy wzrósł w przeciągu roku o jakieś 150%. W Vancouver chyba tylko branża budowlana ma się lepiej. Sporo pieniędzy z opłat licencyjnych, z podatków wszelakiego rodzaju, to nie jest takie hop siup, żeby się nad tym nie pochylić.

Z drugiej strony jednak nielegalne (zdaniem rządu konserwatywnego premiera Stephena Harpera), nieuregulowane (zdaniem miasta) były te sklepiki, to nie Amsterdam, proszę pana, coś trzeba zrobić. I wtedy Vancouver jako pierwsze kanadyjskie miasto wprowadziło miejskie



rozporządzenie regulujące zasady, na jakich działać mają *coffee shops*. Że tylko z licencją, że w określonej odległości od szkół i miejsc użyteczności publicznej, że tylko pewna liczba takich sklepów, że trzeba zapłacić wstępne do kasy miasta.

Ale pewnie niedługo sklepy z mariuską będą *cool*. Władzę w państwie przejął Justin Trudeau i Kanada jest *cool*, bo nowy premier chce zalegalizować rekreacyjne używanie marihuany, „uregulować nieuregulowane”.

WRACAMY NA PRZYJEMNĄ GÓRĘ

Miejsce, gdzie można kupić sobie zioło, w okolicy jest sporo. Jedno mamy nawet w naszym budynku, obok antykwariatu i francuskiej piekarni. Niemalże na przystanku autobusowym, dwa kroki od *community centre*. Sklepików ładniejszych i brzydszych na sąsiedniej ulicy jest sporo. Niektóre to większe biznesy, z całą paletą produktów dodatkowych, serią ubrań czy gadżetów. Z pięknymi wystawami i reklamami.

Kupić skręta może każdy. Tak mówią ludzie. Że rejestracja to mit, że nikt nie sprawdza.

A co ja mam na to powiedzieć jako matka dwóch synów, lat 4 i 9? Przeszkadza mi zapach trawki w pobliżu placówek szkolnych. Niestety w pobliżu szkoły syna, w Parku Relaksujących się Kolesi (tak, tak, jest taki park, *Dude Chilling Park*), owi kolesie często relaksują się nadmierne, zostawiając po sobie śmietnik. Choć pewnie sporo działa się pod wpływem leczniczego narkotyku, z miejsca nie winię jego stosowania. Bo czy mnie oceniać, na ile ktoś potrzebuje i czy w ogóle?

Krzysiek (starszy syn) ma taki stosunek jak do palaczy papierosów, czyli że śmierdzi. Dzieci pod wpływem w parku nie widziałam. Jednocześnie dobrze, że nowa ministerialna publikacja o mariusce zawiera mocno rozbudowaną sekcję o wpływie tejże na młodych. Jest szansa, że lekarze będą uświadomieni, ostrożniejsi, a w szkole zaczną się pogadanki na ten temat – o ile już takich się nie organizuje.

Mam (słabą) nadzieję, że nikt syna nie poczęstuje, ale jeśli tak, to musi wiedzieć, co to jest i do czego służy. I nasza w tym głowa jako rodziców, żeby mu to objaśnić. I o innych używkach też opowiedzieć. O szybkich przyjemnościach, które spłaca się długiem wobec siebie. Rozmawiać o alkoholu, o papierosach i o marihuanie też.

Żaden rząd za nas tego nie robi, choćby nie wiem, ile nakazywał i zakazywał. 🚫

KASIA JEZIORSKA

Zupełnie zwykła trzydziestokilkulatka. Z wykształcenia filolog węgierski, z zawodu pracownik korporacyjny. Od 2014 z mężem i dwoma synami mieszka w Vancouver, pisząc o swoich doświadczeniach na blogu: kanadasienada.pl.

KAROLINA NIEDZIELSKA

Graficzka, ilustratorka, magister sztuki. Mówią, że „interesuje ją tylko moda, a szkoda”. Ilustruje, wycina, porusza. Nie lubi o sobie pisać, woli się popisywać.



FASHIONLYK



NARKOTYKI MAM W NOSIE, CZYLI CIEMNA STRONA OSLO

ALEKSANDRA PIOTROWSKA | MAGDALENA ŚLÓSARCZYK

Oslo od wielu lat znajduje się na liście miast najgorzej radzących sobie ze zwalczaniem narkomanii. Widok defilujących po ulicach centrum heroinistów o zapadłych twarzach i transparentnych, ponakłuwanym skórach nikogo już nie dziwi. Kluby i bary pełne są dilerów handlujących białym proszkiem oraz szerokim wachlarzem pigułek, a w konkretnych dzielnicach miasta potrzeba jedynie chwili, by zdobyć coś do palenia.

Pełen luksusu norweski świat przenika się ze światem imigrantów różnego pochodzenia, gdzie niemal każdy podstępnie – bardziej lub mniej – walczy o swoje. W zakamarkach zamieszkałej przez zagranicznych

przybyszów dzielnicy Grønland, przed którą norwescy rodzice przestrzegają swoje dzieci, bez problemu można kupić marihuanę, haszysz lub kokainę. Nie trzeba specjalnie szukać, by usłyszeć zachęający do kupna szept: *You wanna something?* (z ang. „Potrzebujesz czegoś?”). Wystarczy przejść się jedną z głównych ulic, przystanąć przy którymś ze sklepów lub minąć most, pod którym łatwo natknąć się na czarnoskórych dilerów. Ale to nie tylko problem zarezerwowany dla niższych klas społecznych. Młodzież w Norwegii, często znudzona życiem w dostatku, sięga po najdroższe narkotyki – dwudziestolatków stać bowiem na coweekendowe imprezy z alkoholem i białym proszkiem.

”

„LUBICIE KOKAINĘ? MAMY SPORO, WIĘC JAK CHCECIE, TO SIĘ CZĘSTUJCIE” I ZNACZĄCO SPOJRZAŁ W KIERUNKU TOALETY.

Narkomani uzależnieni od heroiny tworzą tragiczny obraz miasta. Zanim przyjechałam do Norwegii, widok zdegenerowanych społecznie i psychicznie heroinistów znany mi był jedynie z szokujących zdjęć w książce *My, dzieci z dworca ZOO* – opowieści nastoletniej Christiane F. Teraz niemal codziennie mijam ich na ulicach. Podobnie jak na berlińskim dworcu, który w latach 70. skupiał wielu młodych Niemców uzależnionych od heroiny, tak w samym sercu Oslo tłoczą się dziś grupy norweskich narkomanów. Trudno rozpoznać, w jakim są wieku. Większość z nich wygląda jednakowo; są wychudzeni, zgarbieni, mają oblęd w oczach i z trudem utrzymują równowagę. Rzadko nawiązują kontakt z ludźmi spoza swej grupy, choć czasem rzucają przechodniom przenikliwe spojrzenia.

Najczęściej można ich spotkać przesiadujących na przystankach autobusowych, nieopodal płynącej w centrum miasta rzeki, gdzie najwygodniej im przygotować i zażyć heroinę, czy też w punkcie, w którym odbierają czyste igły i strzykawki oraz zastępujący narkotyk płyn zwany metadonem. Punkt został utworzony przez władze miasta – jest to Projekt Wymiany Igieł, w ramach którego wydawanych jest 1,9 mln igieł w ciągu roku, co w porównaniu z Madrytem (600 tys. igieł) i Amsterdamem (154 tys. igieł) daje zatrważającą ilość. Bezustannie rosnący wskaźnik przedawkowania heroiny w stolicy Norwegii pokazuje, że miasto nie ma pomysłu na radzenie sobie z problemem i choć politycy opowiadają o długofalowych

planach, to w praktyce narkomanów przegania się z miejsca na miejsce, by nie odstraszały turystów.

Narkotyki z łatwością można kupić, a nawet i dostać za darmo również w nocnych klubach, gdzie nie brakuje dobrze wyposażonych dilerów. Pamiętam, jak podczas jednej z imprez do mnie i kolegi przysiadło się dwóch facetów – Czech i Indus. Byli sympatyczni i zabawni, więc przegadaliśmy pół wieczoru i niespecjalnie dziwiło nas to, że z przyjemnością stawiali nam alkohol. Po jakimś czasie Czech przysunął się do mnie nieco bliżej i zapytał: „Lubicie kokainę? Mamy sporo, więc jak chcecie, to się częstujcie” i znacząco spojrzał w kierunku toalety. Nie skorzystaliśmy z darmowej próbki, więc gdy następnym razem minęliśmy się w tym samym barze, nasi towarzysze tamtej nocy udawali, że nas nie znają. Po imprezie w knajpie trafiliśmy z kolei na domówkę organizowaną przez nowo poznanych Szwedów. W pewnym momencie jeden z nich, bardzo młody chłopak, sięgnął po telefon i zamówił u swojego dilerza paczuszkę z kokainą. Kiedy spojrzałam na niego pytająco, oznajmił, że musi przyznać, że jest już uzależniony.

Jedne z badań wskazują, że w Oslo wciągany jest jeden kilogram kokainy tygodniowo. Norsk Institutt for Vannforskning (NIVA – Norweski Instytut Badań Wody) przeprowadził analizę ścieków, by sprawdzić, jakich narkotyków zażywają Norwegowie. Okazuje się, że przoduje tzw. czuwaliczka jadalna (inaczej khat), którą mieszkańcy

stolicy przeżywają w ogromnych ilościach – aż do 50 kg dziennie. To narodowa używka Jemenu, którą żuje się zarówno w biednych dzielnicach, jak i eleganckich salonach. Khat zawiera substancje stymulujące, które działają podobnie jak po wypiciu kilku piw. Na drugim miejscu spożycia narkotyków w Oslo pojawiła się amfetamina, na trzecim zaś kokaina.

Małżeństwo norweskich naukowców, Teri Krebs i Pal-Orjan Johansen, wypowiada się o innych środkach odurzających – grzybkach halucynogennych, MDMA oraz LSD, których zażywanie według nich jest bezpieczne jak jazda na rowerze czy granie w piłkę nożną. Twierdzą także, że narkotyki te pomocne są w leczeniu traum, depresji czy nawet alkoholizmu, a zakazywanie ich stosowania narusza podstawowe prawa człowieka. Powinno więc stosować się owe substancje nie tylko w medycynie, ale także w praktykach religijnych czy kulturowych. Głównym argumentem Krebs i Johansena jest mała szkodliwość dla zdrowia oraz to, że środki te nie należą do silnie uzależniających.

Jeśli posłuchać norweskich naukowców, to nawet rewolucyjne wizje i szaleństwo weekendowych nocy mogłoby być bezpieczne. Bo z umiarem. 🍷

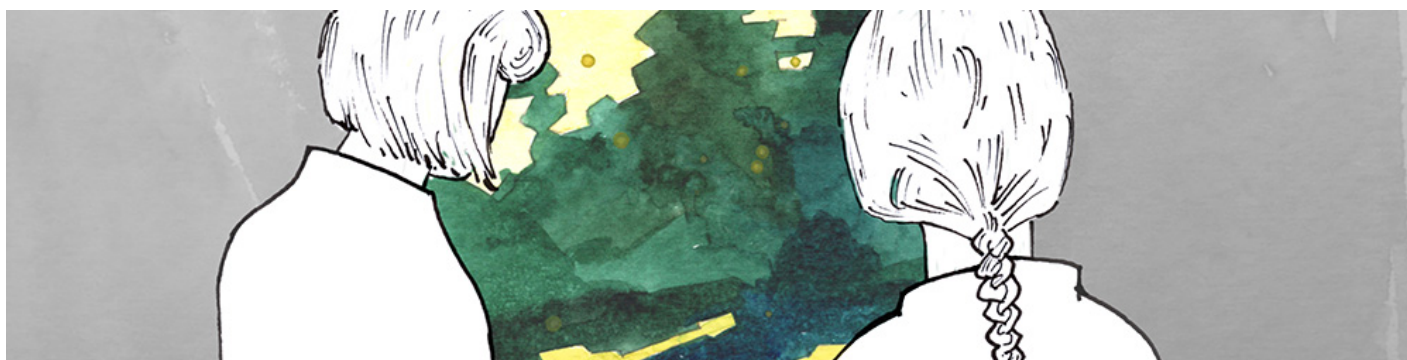
ALEKSANDRA PIOTROWSKA

Absolwentka teatrologii i kulturoznawstwa, interesuje się kulturą współczesną, od dwóch lat mieszka w Norwegii.

MAGDALENA ŚLÓSARCZYK

Oprócz pracy i obserwowania ludzi, rysuje i zmyśla. Marzy o podróży na Północ, własnej huśtawce i stworzeniu animowanego teledysku.





PARYŻ

KRZYSZTOF PIETRAŁA | MATEUSZ GAWRON

I

Działo się to w jednym z tych upalnych państw, które notorycznie zmieniają zdanie.

Szyba była czysta. Dziewczynka patrzyła raz na odbicie swojej twarzy, raz na sunące ulicą jak stare żółwie czołgi. W drugim pokoju rodzice szeptali nerwowo. Mundur za mundurem, za karabinem lśniący karabin. Z oddali żołnierze wyglądali jak mężowie dla jej lalek, z których już wyrosła, tylko zmyślane imiona w pamięci pozostały. Gdyby była chłopcem, pewnie na dłużej zawiesiłaby wzrok na maszerującym groźnie wojsku, ale wołała patrzeć na własne odbicie w szybie. Autorewers czarnego magnetofonu Grundig, który dostała od ojca na trzy-naste urodziny, z chrzęstem przeoczonego chrabąszcza zmieniał stronę jej ulubionej kasety – *Dangerous*. Ją z kolei dostała od przyjaciela z klasy. Uwielbiała jej słuchać. Słuchać i marzyć. Tak, on na pewno w tej chwili wołałby oglądać wojsko, pomyślała.

Po niebie, jak echo ulicy, odbywał się marsz chmur. Pamiętała, jak podczas ostatniego przewrotu zostali ewakuowani z całą rodziną jako bezpośrednio zagrożeni. Tym

razem jednak sprawa nie była aż tak poważna. Zresztą najważniejsze były te dni wolne od szkoły. Zastanawiała się, czy lepiej zostać popularną pisarką, czy modelką z okładek błyszczących pism, które czyta mama. A może jednym i drugim? Gdyby tak móc dorosnąć, tak od razu! Położyła głowę na parapecie tuż obok zamkniętego na miniaturową kłódkę pamiętnika. Pomyślała o swojej babci, tęskniła za nią, za wakacjami, kotami i pierogami z wiśnią. Albo o święcie zmarłych, kiedy na cmentarzu uciekała rodzinie, żeby maczać paluszki w ciepłym wosku kolorowych świec. Nosić paznokcie jak dorosła chciała.

Trudno powiedzieć, ile trwały te chwile. Może nie dłużej niż trwa zrobienie obiadu, a może wieczność rozbudzonej wyobraźni. Słońce rozgrzewało parapet. Wojsko przeszło. Matka wołała ją już drugi raz. Na stole stygła zupa.

Po kilku dniach ponownie otworzono szkołę przy ambasadzie. Przed pierwszą lekcją nauczycielka poprosiła uczniów o chwilę ciszy. Ten chłopak, ten, który podarował dziewczynce kasetę. Lubił oglądać wojsko.

II

Kiedy spokojnym krokiem wchodził na jedyny peron niewielkiej stacji kolejowej, jego pociąg już czekał. Był to pierwszy przystanek na trasie, dlatego miejsc było więcej niż pasażerów. Zajął jedno przy oknie.

Uff, odetchnęła zwalniając i chwyciwszy się poręczy wskoczyła na metalowe stopnie ostatniego wagonu. Nie wiele było wolnych miejsc. Zajęła jedno przy chłopaku bez znaków szczególnych.

Odjazd, ekselencjo, krzyknął (pomijając pierwsze „c”) konduktor i spowity dniem pracy, z doczepioną kokardą uśmiechu zniknął w kabinie motorniczego. Hydrauliczny mechanizm zsunął ku sobie drzwi. Ruszyła maszyna...

Gdy noc jest głęboka, można się jej obawiać z wielu powodów. Choć nie miała w zwyczaju drżeć z byle powodu, to dobrze знаła prawdziwy strach – widziała, jak potrafi maszerować wojsko, widziała niejedno. No więc kiedy wysiada się nocą na przystanku przy pustej budce dróżnika, idzie kilometr albo więcej wzdłuż gęstego lasu, by wreszcie przejść przez czarne gardło wsi, z jej niewykończonymi domami i drzemiącą w nich bezsennie ludzką złośliwością, gdzie pojedynczy, a potem kolejny krok za plecami stopniuje napięcie, żeby na koniec pęknąć z hukiem, nie jest to bynajmniej lęk przed szybko zapadającym zmrokiem. Dziewczyna nerwowo skubała skórę przy paznokciu.

Chłopakowi podobało się, jak dziewczyna delikatnie głaszcze palce. Nie tak zwyczajnie, choćby codzienne wcieranie kremu, ale jak wtedy, gdy myśli się o czymś przyjemnym, a ciało z posłuszeństwem lustra przenosi tę myśl na ruch. Odkąd pamiętał, hołdował przekonaniu – kobiecie dłonie ładnie pachną. Wyobrażał sobie, że dziewczyna pracuje w sklepie papierniczym, a jej palce pachną nowym kompletem kredek. Nieważne już, czy to kolorowy wkład, drewno, czy farba, którą je pokryto. Po prostu zapach kredek. Światło kolejowej jarzeniówki temperowało szczegóły.

Pociąg stanął. Pasażerka wyciągnęła z uszu słuchawki, nałożyła ciepłe nauszники i wyszła. Odjazd, ekselencjo, oznajmił maszyniście konduktor, tak rozbawiony nowym słowem, iż postanowił używać go na całej trasie.

Jeszcze tego samego wieczora chłopak zdecydował, że prowadzić będzie dziennik spotkań. Sumiennie zliczał w nim minuty i łączył je w godziny wspólnych podróży. Za każdym razem, kiedy zauważył dziewczynę w pociągu, włączał stoper, by wyłączyć go dopiero po jej zniknięciu. Na samą myśl o kolejnym wpisie krew tego świeżo upieczonego księgowego przechodziła w cwał. Z jednej strony uzależnił się od tych niedługich, za to częstych spotkań, właściwych wszystkim trasom kolei podmiejskich; z drugiej nie potrafił zdobyć się na nic więcej ponad obsługę zegarka. Tak upłynęła jesień i zaczęła się zima. Musiało minąć kilkanaście stronic zeszytu drobno zapisanego słupkami liczb, żeby wreszcie zapytał, czy może towarzyszyć jej od stacji w głąb mroźnego wieczora. Stało się to za sprawą dość niewyszukanego przypadku, kiedy to los dłonią żartownisia zaciąga hamulec awaryjny. Tak oto bariera nieśmiałości została przełamana, gwałtownie zbliżając tę dwójkę na odległość oddechu. Przepraszam, szepnął speszony, wstając z podłogi. Czy mógłbym...

Zaskoczona dziewczyna zgodziła się bez entuzjazmu. Podniósł teczkę i przepuścił pasażerkę w automatycznych drzwiach. To miło z jego strony, stwierdziła w myślach, choć chłopak nie był bohaterem ani jednego uderzenia jej serca. Przynajmniej pierwszy raz nie będzie musiała obawiać się szybko zapadającego zmroku.

Przez tory przeszli na drugą stronę. Chłopak próbował podjąć rozmowę – rozprawiał o swojej pracy i rodzinnym miasteczku, ale widząc niewielkie zainteresowanie ze strony dziewczyny szybko tracił rezon. Przyznać się do liczb, przeszło mu przez myśl? Przez las szli w milczeniu. Zaproponował owiniętą w tłusty papier kanapkę, żeby przełamać ciszę. Już naprawdę niedaleko, odpowiadała.

W niektórych domach paliły się lampki i było to jedyne światło, jakie padało na drogę. Za ich plecami zaszeleścił



lis. On nigdy nie słyszał odgłosu lisa. Ona pamiętała, że dziś nie musi się niczego obawiać. Nagle chłopak wywinął śmiesznego orla i wylądował na śniegu. Tuż obok ktoś chichrał się, a chwilę potem był błysk, grzmot, krzyk. Poczuli się jak kiedyś na basenie, gdy zanurkował i woda naleciała mu do nosa. Błysk, grzmot, chichot. Zakrztusił się, nie mógł złapać oddechu, kręciło mu się w głowie. Zakrył dłońmi twarz i przez lekko rozwarłe palce szukał dziewczyny, ale widział tylko usta tłumu w porze linczu. Usta śmiały się aż zapadła surowa cisza i wszystko ustało, wszystko prócz monotonnego ruchu Ziemi, który teraz, jak nigdy wcześniej, czuł wyraźnie. Wydawało mu się, że Ziemia jest jak to wielkie miękkie łóżko, po którym tak skakał w dzieciństwie, gdy nikogo nie było w domu. Zdawało mu się nawet, że jest w tamtym domu. Zaraz przyjdzie matka, spyta, czy nie jest głodny, posadzi go w fotelu, weźmie arkusz brystolu i zacznie rysować. A kiedy skończy, podpowie mu w nagrodę za cierpliwość, czy powinien już wyłączyć stoper. O tym właśnie pomyślał przed snem.

Czekając na ambulans dziewczyna gładziła go po opuchniętej twarzy. Póki starczyło sił, chłopak próbował zbliżyć nabite krwią nozdrza do jej dłoni. Już dobrze, powtarzała, kiedy w gorączce mamrotał bez sensu jedno słowo: kredki.

III

Główny korytarz w ambasadzie był długi i dobrze oświetlony, dlatego zdecydowano się zrobić z niego galerię. Na obu ścianach wisiały portrety. Mała dziewczynka już dłuższy czas wpatrywała się w nie, a one w nią. Posiwiali panowie w czarnych garniturach. Im starszy był portretowany, tym straszniejszy jej się wydawał. Poczuli czyjąś rękę na ramieniu. „Przepraszam panienkę, ale muszę sprzątać”. Dziew-

czynka widzi czarnoskórego mężczyznę z odkurzaczem. „To lew?” – pokazuje na bliznę wystającą spod rozpiętej wojskowej kurtki. „Ludzie, panienko”. „A ten wisiołek?” – mała łapie za kolorowe paciorki. „Nie można dotykać koraliki, będzie pech”. „A co to pech?”. Nie wiedział, jak na to pytanie odpowiedzieć, więc opowiedział historię:

W chatce nad strumieniem żył młodzieniec. Pewnego dnia usłyszał pukanie do drzwi i kiedy je otworzył, myśląc, że to myśliwi z wioski przyszli zabrać go na wspólne polowanie, oczom jego ukazała się piękna kobieta jak z bajki.

„Czy mogę zająć Panu chwilę” – powiedziała dziewczyna. Ruchem, którego się po sobie nie spodziewał, pociągnął za identyfikator zawieszony na szyi dziewczyny. Zawsze był podejrzliwy, gdy sprzedawano mu coś przez próg. „To Pani prawdziwe imię? Paryż?”. „Bo mnie udusisz” – uśmiechnęła się do niego. Podpisał wszystko, byle tylko chwila mogła trwać. Powiedziała, że jeszcze wróci zapytać, czy nowa taryfa na prąd jest w porządku.

Chłopak potem bardzo tęsknił za tym imieniem i wierzył w obietnicę powrotu. Przestał chodzić na polowania i czekał. Nie mogli pomóc ani kowal...

Dzwonek do drzwi na równe nogi poderwał go z fotela. „Noże, nożyczki, ostrzenie. Nie potrzebuje Pan naostrzyć noża?”.

...ani czarownik.

„Dzień dobry, czy wierzy Pan w Boga?” – powiedział ten bardziej wygadany z dwóch sprzedawców, a drugi podał darmowy egzemplarz pisma. Opadł w fotel zrezygnowany.

Czekał tak przy drzwiach na znak, a ci, którzy nie polują tracą miejsce przy wspólnym stole. I można traktować ich jak traktuje się wroga.

Nie wróciła zapytać, czy wszystko w porządku. Po miesiącu przyszedł nowy wysoki rachunek. W umowie nie znalazł jej imienia. Nikt go nie znał, kiedy chcąc zerwać kontrakt, przeliterował je do słuchawki telefonu.

„...Pech, to jest spotkać ją na swojej drodze – powiedział woźny i dmuchnął w końcówkę odkurzacza jakby chciał wydmuchać stamtąd solone orzechy. – Wtedy człowiek niczego już nie robi dobrze” – dodał na koniec.

Dziewczynka pilnie słuchała, jakby uczyła się szkolnego wierszyka na pamięć. A kiedy mężczyzna skończył opowieść, wyrwała kolorowe paciorki z jego ręki. Z troską patrzył, jak biegła wzdłuż korytarza, mijając portrety, które nie były jej straszne.

*

Miasto kręciło się jak kolorowy bąk wokół osi przypominającej wysoką wieżę. Paryż szybkim krokiem szła na spotkanie. W gąszczu ludzi na słonecznym bulwarze łatwo przypadkiem wpaść na kogoś. „Przepraszam” – powiedziała. „To nic” – odpowiedział chłopak, choć w czarnych bawolich oczach widać było, że czymś się denerwuje. Podniesione kąciki ust potwierdziły, że można rozejść się w pokoju. Chłopak udawał spokojnego, ale rozglądał się na boki. Raz obrócił się za dziewczyną. Ona też raz. W tym samym momencie. Coś zaiskrzyło. Wieczorne wiadomości podały, że celem była najprawdopodobniej ambasada, ale eksplozja z niewyjaśnionych przyczyn nastąpiła wcześniej. 🍷

KRZYSZTOF PIERTALA

Wczesne lata osiemdziesiąte. Etnolog. Nie pracuje w zawodzie. Stacjonuje w Krakowie.

MATEUSZ GAWRON

Od rysunku architektonicznego na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej rozpoczął swoją drogę przez przezawilości ilustracji i grafiki. W swoich ilustracjach stara się odnaleźć perfekcyjną kreskę oraz to, co naprawdę ładne. Jego prace znaleźć można w różnorodnych gazetach, na kilku blogach oraz jak na razie w jednej książce.



CLUBBING NA PROZAKU, CZYLI WHAT'S YOUR POISON?

KAŚKA PALUCH | ANNA ŁAZOWSKA

Romans subkultury klubowej z używkami to zgrana historia. Muzyka rozwija się z narkotykami. Bez euforycznego działania *molly* nie byłoby *rave'u*. House'owe kluby wypełniało ekstatyczne odurzenie empatogenami i entaktogenami. Jungle? Stymulanty. PCP? LSD? *Psytrance*. Ketamina? Techno.

Nowe dragi powstają tak szybko jak nowe gatunki tanecznej elektroniki. Może zadziwić ich finezja, działanie, ale nie może zaskoczyć fakt, że istnieją. Obserwujemy, badamy ten świat, opisujemy go i doświadczamy od trzech dekad. Jak mogliśmy przeoczyć moment, w którym obok koki, amfy, DMT i LSD pojawiły się duże i małe trankwilizery, normotymiki i antydepresanty?

I nie chodzi tu bynajmniej o imprezowe zastosowanie psychotropów, co przecież też zawsze było i jest praktykowane. Chodzi o obecność leków stymulujących psychikę, zażywanych w celu, do którego zostały pierwotnie stworzone. Psychiczne zaburzenia, depresje, stany lękowe, a nawet tak poważne choroby jak schizofrenia do tej pory były tematem tabu nie tylko w świecie klubowym. A jednak jakoś tak jest, że robi się dziwnie, gdy do miejsca, w które wszyscy uciekają przed problemami, te problemy dowlekają się za nimi. Dlatego fakt, że w ostatnim czasie do zmagania z zaburzeniami psychicznymi zaczęło się przyznawać coraz więcej producentów, artystów, didżejów był tak szokujący dla środowiska. Ale też w dużej mierze wyzwalający.



Po części przyczyną problemów psychicznych jest *rockandrollowy* styl życia każdego, kto pracuje w tzw. branży rozrywkowej, z muzykami i didżejami na czele. W filmie *Berlin Calling* (2008, Hannes Stöhr) grany przez Paula Kalkbrennera DJ Icarus trafia do szpitala psychiatrycznego właśnie po „o jednej za dużo” imprezowej, narkotycznej przygodzie. Nieco inna historia, też będąca pokłosiem trudnego życia nocnego i życia w trasie, została opowiedziana w filmie *It's All Gone Pete Tong* (2004, Michael Dowse) – tracąc słuch, didżej zмага się z zagubieniem, poczuciem alienacji, depresją.

Didżeje przyznający się dziś w prasowych wywiadach do problemów psychicznych często zwracają uwagę na wypalenie, obciążenie nerwowe i wrażenie pozostawiania w nieustannym napięciu nawet długo po zakończeniu wyczerpującej trasy. To trochę tak jakby mechanizm nazywany przez psychologów *fight & fly*, wzrost adrenaliny pod wpływem stresu i zagrożenia, nigdy się nie wyłączał. Oczywiście to jeden z objawów nadużywania psycho-delików. Ale też stan, który może dopaść każdego, kto żyje w zbyt dużej i ciągłej presji – terminów, wywiadów, koncertów, spotkań, krytyki i wszystkich tych wydarzeń z życia artysty, których nie widać na imprezach ani prasowych zdjęciach.

Jednym z najbardziej poruszających tego typu wywiadów w ostatnim czasie był ten udzielony przez producenta ukrywającego się pod pseudonimem Benga dla brytyjskiego „Guardiana”. Pionier dubstepu, wielbiony przez dziennikarskie tuzy pokroju Mary Anne Hobbs, został

zdiagnozowany jako schizofrenik z zaburzeniami afektywnymi dwubiegunowymi (potocznie nazywanymi bipolarnymi). Przyczyną zachorowania miało być nadużywanie narkotyków i zbyt wyczerpujące trasy koncertowe. Benga ma 29 lat, w roku 2014 zakończył karierę muzyczną. „Ta branża opiera się na wizerunku” – mówił Benga – „Wielu ludzi nie chce patrzeć na kogoś, kto jest słaby, albo myśleć, że nie potrafią czegoś zrobić, że nie są cool”.

Z raportu przytoczonego w tym samym wywiadzie (statystyki na rok 2015) wynika, że ponad 37% Brytyjczyków w wieku od 16 do 24 lat przyjmowało narkotyki rekreacyjnie, a liczba ta stale rośnie. „Zacząłem brać, kiedy miałem 17 lat, ale naprawdę wciągnąłem się w to mając 22-23 lata” – mówił „Guardianowi” Benga. – „Zwykle było to ecstasy, ale odkryłem też ketaminę. Zacząłem mieć stany lękowe i paranoję, ale one zawsze były częścią mojej osobowości, więc sądziłem, że to przejdzie”. Nie przeszło, artysta zaczął mieć problemy z kontrolowaniem siebie, w stanie manii (przeciwstawie do depresji w zaburzeniach bipolarnych) został aresztowany. Trafił do szpitala, dostał aripiprazol, popularny neuroleptyk w leczeniu schizofrenii i epizodów maniakałnych. Futurystyczny utwór *Shut It Down* ma odzwierciedlać stan choroby, w którym go nagrywał, jeszcze przed leczeniem. Dziś artysta wycofał się z branży, skupił na rekonwalescencji. „Wiem, że nie mogę już tknąć narkotyków, nie mogę być głupi”.

Niedługo po wyznaniu Bengi głos zabrał Idir Makhlaf z duetu Blasterjaxx. W oświadczeniu pisze: „Kiedy osią-

**” ZNAM DIDŻEJÓW, KTÓRYCH DOPADAJĄ
ATAKI PANIKI I DEPRESJA, KTÓRZY MAJĄ
PARANOJĘ NAWET W TRAKCIE GRANIA
W KLUBIE CZY NA FESTIWALU**

nęliśmy sukces, którego się nie spodziewaliśmy, straciłem rozum. Piłem więcej, spałem mniej, jadłem gorzej... wiecie, normalka. W rezultacie miałem mniej czasu na ćwiczenia, spotkania z przyjaciółmi i rodziną oraz na produktywną pracę”. Zwierza się dalej: „Próbowaliśmy wszystkich rzeczy, by zredukować zdenerwowanie i stres, od krótszych tras koncertowych przez więcej wolnego czasu po korzystanie z droższych, ale wygodniejszych opcji podróży” – pisze Makhlaf. – „I wtedy mnie to dopadło. Mój pierwszy atak paniki. Nie mogłem oddychać, wirowało mi w głowie, a musiałem wyjść na scenę w przeciagu godziny. (...) zdrowie psychiczne i fizyczne jest wciąż tabu w naszym świecie”.

„Znam didżejów, których dopadają ataki paniki i depresja. Którzy mają paranoję nawet w trakcie grania w klubie czy na festiwalu” – opowiadał w wywiadzie dla DJBroadcast Joost van Bellen, jeden z najbardziej wpływowych holenderskich didżejów i turntablistów, aktywny na scenie od 1985 roku, inspiracja dla Erola Alkana, Boys Noize’a czy Feliksa da Housecata. – „Ale wielu z nich macha rękami, potem wracają do garderoby jakby nic się nie stało”.

Za kulisami dużo mówi się o wpływie używek na jakość clubbingu, także w Polsce, w której króluje jednak alkohol i „banieczki”. Dlatego nie są tu normą całodobowe czy całowweekendowe imprezy, bo „dzięki” alkoholowi tu około szóstej rano publiczność się ślania, jeśli w ogóle jeszcze stoi na nogach. Nie jest to wyłącznie domeną naszych współrzędnych geograficznych – sam Fatboy Slim odbył wiele sesji na terapiach odwykowych dla alkoholiczków. To było w okolicach roku 2009, cztery lata wcześniej w jednym z wywiadów mówił: „Próbowałem być na scenie trzeźwy i nie dawało mi to zbyt wiele radochy”.

Czy fakt, że dziś częściej mówi się też o „ciemnej stronie mocy”, o konieczności brania psychotropów nie w celach rekreacyjnych, ale leczniczych, bo – mówiąc krótko i kolokwialnie – ludziom siada psycha, jakoś dziwi? Mnie nieszczególnie, wydaje mi się to nawet logiczne. Kultura klubowa jest kulturą stosunkowo młodą, mówimy o góra czterech dekadach. Ci, którzy bawią się najdłużej, dziś są dorośli. To, co nie przeszkadzało 17-latkowi, przeszkadza

30-latkowi – jak w przypadku Bengi. Zażywanie narkotyków i nocnego życia przez długie lata też robi swoje. Wygląda więc na to, że dziś obserwujemy zbieranie plonów.

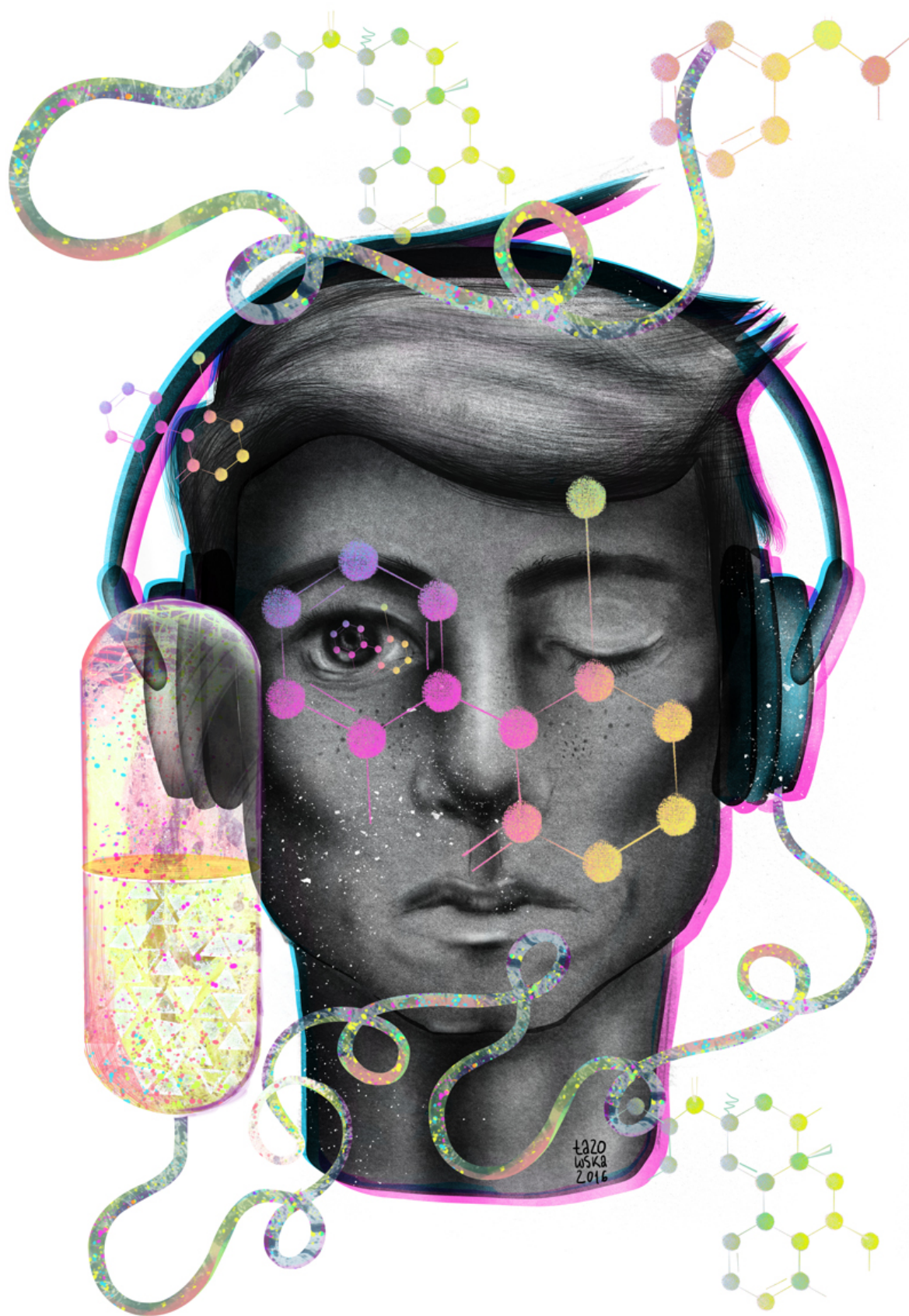
Po wyznaniach artystów, po wycofaniu się Avicii’ego – gwiazdy EDM – z koncertowania z przyczyn zdrowotnych, także spowodowanych problemem alkoholowym, temat będący dotychczas tabu został przełamany. Media alarmują, artyści się wspierają, tweetują o własnych problemach, piszą manifesty, spowiadają się przed swoimi fanami. Wolność od stygmatyzacji w rozmowach o problemach psychicznych jest potrzebna nie tylko środowisku klubowemu. Ale jak te dyskusje, jak pokazanie, że clubbing jest dziś w dużej mierze na prozaku, wpłynie na samą kulturę? Dziś nikt na to pytanie nie odpowie. Dla mnie to kolejny rozdział w historii związków używek i clubbingu. 🍷

KAŚKA PALUCH

Muzykolog, krytyk muzyczny. Zafascynowana psychologią muzyki i filozofią sztuki, a także zakochana w górach, dlatego jeśli nie pisze o narkotykach na rave’ach, to o samobójstwach w Tatrach... no chyba, że akurat jest na Kościelcu. Właścicielka chomika Emila (od Ciorana), który lubi techno.

ANNA ŁAZOWSKA

Absolwentka kierunku Grafika Warsztatowa na ASP w Łodzi. Na co dzień zajmuje się ilustracją i projektowaniem graficznym, w wolnym czasie tworzy smutne kolaże. Wiecznie poszukuje własnego, charakterystycznego stylu, ale wciąż nie może się zdecydować na jeden. Interesuje ją związek człowieka z naturą i ludzka psychika – jej najciemniejsze zakamarki, niedoskonałości, sprzeczności i walka z samym sobą. Marzy o napisaniu i zilustrowaniu własnej książki.





PEJCZ, KARABIN I BIAŁY LEW, CZYLI WEEKEND WE LWOWIE

AGATA WIECZOROWSKA

Staniki. Koronkowe, muślinowe, bawełniane, w kwiatki i kraciaste. Zwisają z potężnych haków przytwierdzonych do sufitu, prawie muskając nas po głowach. Półmrok rozciąga się od ściany do ściany. W lewym rogu ubikacja, w której nad bidetem wiszą płaskorzeźby damskich i męskich narządów płciowych wyrzeźbione z takim umiłowaniem rozmiaru, że półślepy zorientowałby się, z czym ma do czynienia.

Przyjście kelnerki zwiastuje świst biczika i okrzyki gości przy sąsiednich stolikach. Celuje w miejsce, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę, ale zazwyczaj chybia i wali na ślepo po nerach. Wskazówka zegara jest już tuż przed drugą, ręka nie ta, wzrok mglisty.

Siedzimy w Masoch Café we Lwowie i czekamy na menu. W końcu je dostajemy, oprawione w sfatygowane futerko. Dostajemy też biczem. Znowu po nerach, bo kelnerka nie trafiła. Menu nie przekonuje nas, trochę dlatego, że jest zbyt ciemno, żeby je przeczytać, ale bardziej dlatego, że nie znamy cyrylicy. I choć w każdej innej knajpcie we Lwowie stać nas na wszystkie dania z menu od góry do

dołu i jeszcze na płaszcz kelnera, tak tutaj ilość hrywien potrzebna do zakupu gulaszu z jąderek byka nie mieści się nam w portfelu. Po długich i ciężkich namysłach i jeszcze cięższych batkach spadających na nerki, kelnerka stawia przed nami dwa kufle Białego Lwa i oddala się w świetle bicia i wśród maślanych spojrzeń męskiej klienteli.

Café Masoch to jedna z ciekawszych pubowych propozycji Lwowa. Leopold Ritter von Sacher-Masoch, pisarz, od którego ekscentrycznego trybu życia pochodzi termin masochizm, urodził się w XIX wieku we Lwowie i przez większą część swojego życia mieszkał przy ulicy Serbskiej 7. Dziś postawiono tu jego pomnik, a za pomnikiem knajpę, w której siedzimy.

Niespokojnie kręcę się na krześle, bo nieopatrznie siadłam na tym z wydrażonym miejscem na męskie genitalia. Moje anatomiczne niedopasowanie daje się we znaki bardziej niż zmęczenie i procenty wymieszane z krwinkami krwi. Goście krzyczą coraz bardziej przeciągle – jak szakale na National Geographic – a kelnerki tylko przekładają bicze z ręki do ręki. Męczy nas psychodeliczny półmrok,



w którym ciężko połapać się, którądy do wyjścia, a którądy do sali tortur. Kiedy nie potrafimy się już rozeznaczyć, czy wiszą nad nami staniki, czy stalaktyty, prosimy o rachunek. Kelnerka przynosi but wsparty na niebotycznie wysokiej szpilce, w który wetknięty jest paragon. Wrzucamy hrywny do buta. Wychodząc, dyskretnie wącham, czy but używany, ale pachnie jak prosto z linii produkcyjnej.

Sponiewierani i zbici biczem wychodzimy od Masocha i szukamy alkoholowego szczęścia gdzie indziej. Na ulicy rzuca się nam w oczy kolejka potężna jak po mięso za PRLu. To kolejka do wejścia do Kryjiwki (Kryjówki), pubu, który rozciąga się w piwnicach pod lwowskim rynkiem. Pomimo sporej wielkości pubu okazuje się, że zawsze trzeba odstać swoje w kolejce. Do pubu wpuszcza żołnierz, któremu, mimo tego, że nie jest głuchy, trzeba krzyknąć na całe gardło: „Sława Ukraini!”. Wtedy dobywa z kieszeni munduru metalowe kielonki z kolekcji fajansu kuchni polowej i polewa jakąś mdląco-słodką wiśniówkę. Przetykamy w milczeniu. Schody w dół są wąskie

i strome, ale wiśniówka dopiero spadała na dno żołądka i nie zdążyła się jeszcze wybić do zwojów mózgowych – schody są więc do pokonania.

Pomimo kłębiącej się kolejki na górze, na dole okazuje się, że Kryjówka wcale nie jest przepchana ludźmi. Można na spokojnie wybrać jeden z ciężkich drewnianych stołów i zabrać się do studiowania polowej karty dań. Wiele z proponowanych tutaj rarytasów to wiktuały kuchni polowej, a więc głównie smażone naprędce kielbasy zalane w gęstych sosach różnej maści, podane z grubą pajdą chleba. Zamawiamy zapiekanekę ziemniaczano-wszelaką, która wjeżdża na stół w akompaniamencie blaszanej zastawy. Przelknąwszy ostatni kęs zapiekanki, aż chce się schować blaszane miski i talerze do plecaka – byłyby jak znalazł na weekend pod namiotami na Mazurach.

Okolo północy gaśnie światło i zaczyna się inscenizacja pola walki. Pech chce, że akurat jestem w łazience, kiedy spadają na mnie egipskie ciemności. Dobywam telefonu komórkowego niczym świetlnego miecza i w ten



sposób udaje mi się znaleźć rygiel i wydostać przybytku. Kelnerzy w żołnierskich mundurach i ciężkich wojskowych butach biegają tymczasem w tę i we w tę, krzycząc „Sława Ukraini!”. W ogólnym galimatiasie rozbrzmiewają wystrzały sztucznych pistoletów, które mają jednak taką skalę dźwięku i tak imponujący huk wystrzału, że na moje niezaznajomione z wojną ucho, mogłyby spokojnie ująć za prawdziwe. Ukraińcy z sąsiednich stolików wstają, wznoszą toasty z blaszanych kielonków i zamaszycie salutują żołnierzo-kelnerom.

Kiedy męczy już nas picie w rytm salw z karabinów, wmykamy się z Kryjówki i wracamy na poziom zero miasta. Kierujemy się jeszcze do Domu Legend. To kolejny tematyczny pub, który rozciąga się na kilku piętrach ogromnej wieży, z której widać, jeśli nie całe, to spokojnie jego trzy czwarte. Tutaj królują zakochane pary, przytulające się pod kraciastymi kocami (na wieży wiatr smaga gośćmi na prawo i lewo). Na stolikach rozsiadły się jabłkowe strudle w towarzystwie lampek białego wina. Siedliśmy prawie na najwyższej kondygnacji, żeby móc zaczerpnąć nieco świeżego powietrza po duchocie i zapachu śrutu z Kryjówki.

Za chwilę wjeżdża nasz strudel w akompaniamencie lampek wina, ale i tu nie będzie nam dane zjeść w cichości koca i stolika. Do ściany, przy której stoi nasz stolik dobudowany jest wielki metalowy lejek. Ludzie siedzący o kondygnację wyżej zaczynają zawody, komu uda się wrzucić więcej monet do lejka. Ciskają brzęczące hrywno centy trochę po omacku, trochę po pijaku. Co drugi hrywno cent trafia nas w głowę, a rzęsy deszcz drobnych monet ląduje na stoliku. Dojadamy strudla, nie gryząc już jabłek. Wybiegamy z wieży z guzami na czole jakbyśmy siedzieli nie w pubie, ale w pszczelim ulu. Kieszenie mamy za to ciężkie od ukraińskiej mamony.

Zużyci weekendem i dobrze już obeznani z okolicznymi pubami następnego ranka wsiadamy do BlaBla-Cara i kierujemy się do ojczyzny. Ale i tutaj nie omi-





nie nas element z alkoholowego życia Ukrainy. Taras, kierowca nie zdąży zatrzasnąć za sobą drzwi, a już uderza w autopeany, ile to wypił ubiegłej nocy. Przyszło kilku kolegów, wzięli ze sobą Białe Lwy. Poza Lwami na imprezie był też pies Tarasa, buldog francuski, chociaż tak naprawdę ukraiński. Po dłuższej chwili nieobecności czworonóg wraca ze zwisającym z pyska truchłem psa sąsiada.

Nitki śliny znaczą wzorki na dywanie. Taras i koledzy od razu trzeźwieją, przychodzą do siebie i po rozum do głowy. Dwóch najtrzeźwiejszych przeskakuje przez płot, podczepia starmoszone truchło pod łańcuch pod budą i wraca pić. Rano sąsiad przestraszony bardziej niż Taras. „Panie” – mówi – „wczoraj zakopałem psa, bo kuny zadusiły, dziś wstaję, pies wisi na łańcuchu”. Dojeżdżamy do granicy w przeświadczeniu, że picie na Ukrainie jest magiczne, ale tak po prawdzie, to dobrze, że Puszek został u Babci. 🍷

AGATA WIECZOROWSKA

Filolog języków obcych (angielski) i bardzo obcych (portugalski i rumuński). Pochodzi z Zielonych Płuc Polski. Na studia przeprowadziła się do Krakowa. Pracuje w korporacji, w wolnym czasie czyta „Muminki” i prowadzi blog: kaluzapelnamirabelek.wordpress.com

| Zdjęcia lwowskich pubów albo z lwowskich pubów.
Lwów, kwiecień 2016.



PAPIEROSY, MOJA MIŁOŚĆ

KAROLINA MOLDA | VIKTORIA AIGARDE ROISOVETSKA

Palenie, powiedział kiedyś lewicowy egzystencjalista, to symbol destruktywnego poznawania świata. Kilka lat temu antytytoniowa kruczata nad Sekwaną zabrała mu papierosa, którego ćmił namiętnie na starym plakacie. Piekło to inni i Photoshop, powiedziałby dzisiaj.

Patrzę na zdjęcia z rodzinnego albumu pod kątem podobnej obróbki. Najbardziej subtelny retusz odrąbałby każdemu pół dłoni. Wszyscy wyglądaliby też dziwnie wypuszczając niewidzialny dym albo nachylając się, żeby podpalić sobie podbródek.

Choćbym nie wiem jak chciała zmienić historię, przerabianie papierosów na niewidzialne piksele nic nie da. Piekło to nie inni ani nie Photoshop. Piekło to miłość do papierosów.

1.

Trwa plebiscyt popularności w liceum. O nagrodę główną można walczyć, zaciągając się jak największą ilością substancji smolistych. Okoliczności łagodzące: astma z ostrymi powikłaniami lub stadium terminalne gruźlicy. Pozostali chowają się za garażami. Przedsiębiorczym dziewczynom panie z kiosku zawsze sprzedadzą paczkę

mentoli, którą chowa się szybko do dorosłych torebek. Zaciągają się z ulgą, zmęczone życiem nastolatki.

Dla naszych skołowanych 15-letnich umysłów świat jest skomplikowany, ale próbujemy go uprościć łatwymi dychotomiami. Ci, co palą i nie palą. Ci, co szukają wrażeń, i ci w stanie dziecięcego „niewyrobień”. Ci, którzy dużo wysiłku wkładają w to, żeby się wydawać fajnym bez wysiłku, i ci, którzy są niefajni pomimo wysiłku.

Nie znam jeszcze teorii izraelskiego biologa Zahaviego na temat samobójczych sygnałów wysyłanych przez zwierzęta w celu uzyskania dominującej pozycji w stadzie. Nazwisko antropologa Jareda Diamonda, który przełożył to na arsenał niebezpiecznych zachowań ludzi nic mi nie mówi. Krztusząc się i czując palenie w gardle po pierwszym zaciągnięciu się czerwonym marlboro, przyłączam się do atawistycznych popisów.

Nie znam tych teorii, ale wiem na pewno, że od niepalenia już tylko krok do samotnego spędzania przerw na szkolnym korytarzu. Jestem ambitna, więc systematycznie zaczadam się z każdym wybiciem dzwonka.

2.

Jestem na wymianie we Francji. Nie jaram gaulloisów jak Sartre, ale czytam dużo egzystencjalistów. Papieros staje się rekwizytem mojego życia intelektualnego.

Na wydziale humanistycznym palą wszyscy. W akademiku też. Dzięki paleniu poznaję najfajniejszych studentów.

Mimo że „platoniczne przyjaźnie, kontakty biznesowe, wigor, zdrowie i szczęście”, które obiecują koncerny tytoniowe w swojej zmyślnej komunikacji marketingowej, jest, jak powszechnie wiadomo, ściemą, to palą intelektualiści, pisarze, artyści. Papieros jest elementem ikonografii. Funkcjonuje w zbiorowej wyobraźni jako magiczne akcesorium, które wyzwala kreatywność i stymuluje intelekt.

Jest zima, piwo w *brasserie* na mieście jest drogie, dużo czasu spędzamy w akademiku. Kiedy kończy się zapas Ravenów z Polski, uczymy się od Francuzów rolować skręty z tytoniu. Puszczamy z dymem lwią część naszego stypendium. Kiedy idziemy do biblioteki, udajemy, że czytamy *Mitologie* Barthes'a, rozglądając się po sali i szukając wzroku innych studentów o opuszkach palców pośliskłych od tytoniu.

3.

Mam dwadzieścia parę lat. W czasie częstych kłótni sięganie po kolejnego papierosa markuje kolejną rundę sporu, etap pojedynku. Chwilowy sojusz zawieramy podsuwając sobie bez słowa ogień. Kilkaset paczek później w korytarzu stoją moje dwie walizki.

Pożegnalny papieros ma gorzki smak, zagryzam go łzami. Próbuje być harda jak Hemingway i brać życie za bary.

Pet mi dynda między wargami, jest moim przedłużeniem.

Papieros jest teraz moją kroplówką, wentylem bezpieczeństwa, kołem ratunkowym. Bywa też moim wewnętrznym zegarem, nadającym rytm mojemu dniu, lub protezą towarzyską, ratującą mnie z niezręcznych sytuacji.

Lubię palić. Lubię tę iluzję, że dzięki papierosowi zachodzą w mojej głowie procesy myślowe.

Co ja na to poradzę, że papieros nadaje lepszy, głębszy smak chwilom istnienia? Że w chwilach upadku sący się przez jego ceglasty filtr mądrość kosmosu? Że oświeśla swoim żarem taplanie się w bebecach podświadomości?

Czasem pod wpływem moralizatorskiego artykułu próbuję sobie wyobrazić życie bez papierosa. Czy umiałabym cieszyć się smakiem espresso? Lampką wina w piątkowy wieczór ze znajomymi? Czy miałabym do końca życia pić dziurawiec i herbatki ziołowe? Obżerać się słodyczami? Być Kurtem Cobainem muffinek? Amy Winehouse słonecznika?



4.

Na jakiejś imprezie, po jednym drinku za dużo, zapalam miętowego papierosa.

Nie palę już od roku. Rzuciłam bez przekonania, ze zdrowego rozsądku. Szkoda mi pieniędzy, chcę żyć zdrowo, to niemożliwe – codziennie sobie te powody muszę przypominać. Trochę tak jak po burzliwym rozstaniu sporządza się trochę na wyrost katalog wad, licząc, że to pomoże nam się odkochać. Przez tego jednego mentola pod czaszką rozpętuje się cudowne, dobrze znane piekło.

Po tej imprezie jestem trochę rozdarta. Tęsknię za papierosami w torebce. Za paleniem w oknie i słuchaniem muzyki. Czyż palenie nie jest romantycznym gestem buntu? Lewicowo-hedonistyczną prowokacją przeciw modnej narracji zdrowia i ideałom klasy średniej? Rock'n'rollowym środkowym palcem wymierzonym w śmierć?

Któregoś dnia wracam do domu – chowam się przed deszczem do supermarketu i wychodzę z niego z paczką palli. Wyjmuję jednego. Trzask zapalki, podmuch wiatru, granatowy dym. Obiecuję sobie, że tylko ten jeden, może dwa, ale mam problem z matematyką i finał jest banalny. Skończyłam niedawno 30 lat, więc na wszelki wypadek wklepuję w siebie dużo kremów i piję więcej soków warzywnych.

Kilka miesięcy później bliska mi osoba ma ataki duszącego kaszlu. Pewnego dnia podnoszę słuchawkę i to, przed czym ostrzegają drukowane teksty na opakowaniach wyrobów tytoniowych, staje się nagle okrutnym faktem.

W szpitalu na oddziale onkologicznym nikt nie myśli o paleniu jako akcie estetycznym. Wstyd pacjentów z dziurą w gardle nie błyszczy i nie jest fotogeniczny jak Kate Moss z kieliszkiem szampana i papierosem. Próbuje nie gapić się na pana z łysą czaszką na szpitalnym tarasie, który siedzi nieruchomo w wózku. Spod szlafroka prześwituje chude ciało, na kolanach ma przedostatni numer mojego ulubionego tygodnika, w ręce, która zwisa bezwładnie, tli się papieros. Przestaję widzieć w białym ruloniku symbol kontrkultury i „destruktywnego nauczyciela życia”. Widzę w nim w końcu to, czym jest. 🍷



VIKTORIA ATGARDE ROISOVETSKA

Absolwentka ilustracji mody w Fabryce Stylu oraz grafiki w Warszawskiej Szkole Reklamy. Zajmuje się ilustracją, gdzie najbardziej ją fascynują barwy akwareł. Zakochana w fotografii analogowej.



PROZAK I CUKIER

JAKUB WYDRZYŃSKI | KATARZYNA DOMŻALSKA

Dosyć mitów na temat psychotropów! Mit numer 1: Antydepresanty uzależniają. Prawda: cukier uzależnia bardziej. Mit numer 2: Antydepresanty powodują tycie. Prawda: Eee tam. Nie tak bardzo. Ja przytyłem zaledwie 10 kilo.

Mimo że piszę te zdania trzymając w lewej dłoni spalaszowany już w połowie orzechowy rogalik (jeden z trzech; dwa pozostałe mam odłożone w plecaku „na pokrzepienie” podczas pracy) i zamiast uprawiać jogging czy inne zapewniające powodzenie w życiu towarzyskim i zawodowym sporty, tak jak inni goście Parku Krakowskiego, siedzę na ławeczce podziwiając pełnię wiosny, nie mam specjalnych wyrzutów sumienia wobec swojego organizmu. Uważam się za jednostkę w pełni sił i zdrowia, a jak na swój chrystusowy wiek wcale nie tak bardzo steraną życiem. Są przecież bardziej szkodliwe substancje niż węglowodany złożone, drożdże, karmelizowane prażone orzeszki włoskie oraz dziesięć miligramów przekąsnika serotoniny dziennie. Mogłbym przecież nadużywać etanolu w jednej z malowniczych kafejek, wciągać biały kurz ze stolików w rejonach Kazimierza, Podgórze, Zabłocia czy innych słynących z inspiracji, dekadencji i rozpusty dzielnic naszego miasta. A tak trzymam się sło-

dyczy i ogólnie trzymam się nieźle. Żadnych sportów ekstremalnych, żadnych ekscesów, ryzykownych zachowań „pod wpływem” ani zachowań ze zgubnym wpływem na nikogo.

No alarms and no surprises. Nic a nic. Tylko słodczy.

Mówię wam, to wcale nie antydepresanty uzależniają. Uzależnia cukier. To zupełnie tak jak z papierosami i piwem. Mam znajomego, który od dziesięciu lat nie pije ani nie pali. Nie pije, bo gdy pije, to pali. Nie pali zaś dlatego, że gdy pali, to pije. Z premedytacją unika palaczy i piwo-szy, więc nie chadza też do pubów ani kawiarni, w których mógłby spotkać towarzystwo ludzi pijących lub palących albo, co gorsza, ludzi wykonujących obie te czynności równocześnie. Bardzo dobrze rozumiem mojego znajomego i jego krzyżowe uzależnienia. Poza okresami terapii farmakologicznej mam wręcz ostrą awersję do słodkości. Nie słodzę nawet kawy ani herbaty. Ciastka są mi obrzydliwe, a nawet pomarańcze wydają mi się za słodkie i z cytrusów spożywam tylko niedojrzałe grejpfruty. No ale kiedy przyjmuję psychotropy, to pożeram już cały inwentarz wyrobów cukierniczych.

Tak, przyznaję się: zajadam prozak cukrem. Złożonym i prostym, rafinowanym, nierafinowanym, trzcinowym, buraczanym, chemicznym czy organicznym – wszystko jedno. Wszystko, by zniwelować mdłość życia na antydepresancie. Chociaż prozak ogólnie jest super. Zwłaszcza gdy potrzebujesz szybko wykrzesać z siebie trochę mocy witalnych w okresie od listopada do kwietnia. Idziesz do świrologa, dostajesz receptę, łykasz pigułę i po dwóch tygodniach masz już absolutnie wybimbane na wszystko. Tak, prozak jest zacny. Tylko trochę usypia. Nie na tyle, by padać twarzą na klawiaturę, ale jednak nie daje kopa. Wręcz przeciwnie: hibernuje. Constans. Co cię nie zabije, to cię nie ożywi. Po miesiącu nic cię już specjalnie nie przeraża, ale też nic specjalnie nie podnieca. No to przecież bez kawy i drożdżówki z rana ani rusz! Potrzebujesz paliwa!

No i tu, moi drodzy, zaczynają się schody. Wcinasz lek, żeby osiągnąć stan uśmiechniętego zombie na wakacjach w Splicie. Jesteś radosny, pogodny, wychilloutowany, ale musisz jednak iść do pracy. Żeby zebrać się w sobie co rano sięgasz po dopalacz w postaci węglowodanów i tłuszczu. Błędne koło się zamyka. Już tak łatwo się z niego nie wydostaniesz. Ale, ale, nie jest przecież tak źle. W końcu jesteś na prozaku, zatem „masz wybimbane”! Czy ważysz 80, 100 czy 200 kilo, stajesz przed lustrem i czujesz się świetnie!

To słodkie kłamstwo antydepresantu ma niestety bardzo długie nogi. Zdejmuje z ciebie odpowiedzialność, podsuwając całą garść dobrych wymówek w stylu: „to nie kilogramy, to nerwy”, „to nie ja, to depresja”, „tyję przez leki”. Choć akurat ta ostatnia wymówka jest nie do zbicia. Tak, to wszystko przez leki. Leki, na które się godzisz. Bierzesz, więc jesteś ok. Bierzesz, czyli dbasz o swoje zdrowie psychiczne coraz bardziej olewając fizyczne. Wcinasz masę kakaową, popijasz kawą, zapominasz o zrównoważeniu diety, bo przecież na to przyjdzie czas „po terapii”. Może i na własne życzenie doprowadzasz się do kamicy woreczka żółciowego i cotygodniowych wizyt na SORze, ale co tam. „Dbasz o siebie”, przecież regularnie przyjmujesz lek.

Ale żeby nie było, że potępiam farmakologię w czambuł. Nic z tych rzeczy. Wręcz polecam. Wszystko jest dla ludzi: leczenie, uzależnienie, odstawienie, branie, ćpanie, umieranie. Byle tylko świadomie. Byle tylko z pełną wagą i pełną konsekwencją. Ludzie średniowiecza wymyślili *ars moriendi*, czyli sztukę świadomego odwalania kity. Nikt wówczas nie chciał umierać w wypadku samochodowym, katastrofie lotniczej, tracić przytomności ot tak i schodzić ze sceny. Największą trwogę wzbudzała śmierć nagła. Prawdziwą zgrozą było wałnąć w kalendarz, nie pojednawszy się z Bogiem, nie rozliczywszy żywota i nie pożegnawszy się z tym leż padłem przy pełnym żałobnym ceremoniale. Może czas powrócić do tej tradycji? Jeśli się zabijać, to świadomie. Równie świadomie leczyć i brać psychotropy. Świadomie się zatruwać i otumaniać lub świadomie powiedzieć: dość, już wystarczy.

To jest ta cienka linia między prośbą o pomoc a cackaniem się ze sobą. A ja się ze sobą cackam notorycznie. Wiem, bardzo dobrze wiem, że strach już minął i że czas zacząć stawiać pewne kroki w świecie, od którego uciekłem w tabletki. A skoro wiem, to czemu nadal głaszczę się po główce i oblewam słodkim syropem? Czy to strach przed światem bez cukru, czy strach przed wysiłkiem?

Więc ok. Jeszcze miesiąc, jeszcze tylko miesiąc i odsta-

”

**IDZIESZ DO
ŚWIROLOGA,
DOSTAJESZ
RECEPTĘ, ŁYKASZ
PIGUŁĘ I PO DWÓCH
TYGODNIACH MASZ
JUŻ ABSOLUTNIE
WYBIMBANE NA
WSZYSTKO.**

C O N S . T . A N S

I Feel
dabne



wiam. Po miesiącu jest to samo. Targowanie się nie ma końca. Podobno „każdy normalny człowiek potrzebuje jeszcze 5 minut żeby się wyspać”. Każdy prozakowiec potrzebuje jeszcze kwartału na proszkach. Ostatecznie mija rok, dwa lata i nagle przyłapujesz się na tych momentach emocjonalnej nieobecności w swoim własnym życiu. I to też wcale nie przeraża. Wytlumienie reakcji na wszystko zaczyna po prostu naprawdę męczyć. Książka nie interesuje, film nie emocjonuje, seks nuży, kawa nie podnosi ciśnienia, papieros nie rozluźnia. Czas przelatuje przez palce. Pozostaje głód. Odruch wchłaniania, obrastania tłuszczem jak bezpiecznym kokonem. Zapchać kichę pizzą, cukrem zasypać wyrzuty sumienia. „Napchać się strudla i umrzeć”, jak pisał Singer.

Zadok Halperin wpatrywał się w mały kawałek strudla: czy mam go zjeść? Czy może mi zaszkodzić? Bez względu na to, czy go zjem, czy nie, moje arterie pozostaną zatkane. I tak nigdy nie uda mi się zrzucić tych dziesięciu kilogramów. Szczupli ludzie również umierają. Wszystkie te statystyki są diabła warte.

Chwycił pospiesznie kawałek strudla i włożył go do ust. Zgarnął zręcznie językiem okruszek, który zaplątał mu się w brodę. Nasunęła mu się myśl: a może taki właśnie będzie kres tego wszystkiego? Napchać się strudla i umrzeć. Co za bezsensowna ambicja...

No właśnie – po co ambicja? Po co pośpiech i dyktatura życiowego sukcesu? Wyluzuj. Daj sobie jeszcze tydzień cukru i prozaku. Przecież ogólnie jest spoko. Tak, spoko. Tylko trochę za bardzo jak w *Chandelier*: *Party girls don't get hurt*

Can't feel anything

Nie, nie, nie... nie będziemy nic odstawiać, choć pan doktor zalecał, żeby już się usamodzielnąć. Nie, nie, ta słodka impreza jest zbyt dobra, by wyjść przed północą. Nie chcę schodzić z żyrandola. Będę się na nim huśtać, póki nie zamkną ostatniej apteki.

Apteka czeka na słabego człowieka – śpiewał pan Maleńczuk.

One, two, three

One, two, three, drink – śpiewa SIA.

Zamień “drink” na “pill” i dośpiewaj sobie resztę zdań.

Huśtu, huśtu, jeszcze tylko trochę cukru... jeszcze troszkę. Nie chcę opuszczać karuzeli, nie chcę widzieć, jak świat wygląda naprawdę ani tym bardziej jak JA wyglądam naprawdę. Bez słodczy.

I'm gonna swing from the chandelier

From the chandelier

I'm gonna live like tomorrow doesn't exist

Like it doesn't exist

I'm gonna fly like a bird through the night

Feel my tears as they dry

I'm gonna swing from the chandelier

From the chandelier

A co jeśli... Co jeśli cała moja siła jest sztuczna i kupna?

Pierwszy sprawdzian: lustro.

Egzamin z Lacana. Znów jestem dzieckiem.
Patrzę w swój pysk po raz pierwszy. Abiekt
Krisztevej: podmiot i wymiot. Raz dwa trzy, pal-
ce w gardło. Raz dwa trzy i raz dwa trzy.

*Sun is up, I'm a mess
Gotta get out now
Gotta run from this
Here comes the shame, here comes the shame*

Nie, jeszcze nie.

Jeszcze miesiąc, jeszcze jeden tydzień.

Ale wierzę, wierzcie mi. Wierzę, że w końcu
to zrobię.

Przestanę słodzić.
Seriously.

P.S.

Następne felietony sponsorują producenci
insuliny i gabinety diabetologiczne. ☺

JAKUB WYDRZYŃSKI

Kulturoznawca, wieczny student, człowiek wie-
lu zawodów. Pisał dla Ha!artu, ale stracił węgę
i motywację. Wcześniej popełnił trochę prozy
w „Odrze”, „Akcencie” i „Pograniczach”. We-
dług niektórych umie też zrobić dobrą kawę.

KATARZYNA DOMŻAŁSKA

Absolwentka kierunku Projektowanie Graficz-
ne na ASP we Wrocławiu (2012). Na co dzień
zajmuje się projektowaniem graficznym, ilu-
stracją oraz animacją. Laureatka licznych kon-
kursów. Obecnie freelancer.



WE WANT YOU!

PISZ NA: REDAKCJA@FUSS.COM.PL



FUSS WSPÓŁTWORZONY JEST PRZEZ PASJONATÓW – OSOBY OTWARTE, CHĘTNE DO DZIELENIA SIĘ SWOIMI PRZEMYŚLENAMI, ZAINTERESOWANIAM, PODRÓŻAMI, KULTUROWYMI I SPOŁECZNYMI FASCYNACJAMI. ZACHĘCAMY DO KONTAKTOWANIA SIĘ I PRZESYŁANIA SWOICH PROPOZYCJI TEKSTÓW.

FUSS MAGAZYN

ISSN 2300-3758

ZACHĘCAMY TAKŻE DO WSPÓŁPRACY GRAFIKÓW, ILUSTRATORÓW, FOTOGRAFÓW I WSZYSTKICH, KTÓRYM NIE OBGA JEST WOLNOŚĆ TWÓRCZA I CHĘĆ ARTYSTYCZNEGO WYRAZU.